



Józef Dygas

**W kręgu komety
Halleya**

W kręgu komety Halleya to fascynująca autobiograficzna podróż przez XX wiek, oparta na przeżyciach Józefa Dygasa. Od wiejskiego chłopca z zaboru austriackiego po inteligenta w II Rzeczypospolitej i oficera Armii Krajowej w okresie okupacji. Barwna narracja ukazuje nie tylko indywidualną historię, lecz także obraz zbiorowej świadomości narodu, odkrywając zarówno tragiczne losy, jak i narodowe grzechy. Życie Józefa Dygasa, rozciągnięte między dwiema wizytami komety Halleya w 1910 i 1986 r., staje się metaforą przemijania i ciągłej walki o godność.



JÓZEF DYGAS urodził się w 1905 r. we wsi Wojkówka (Podkarpacie). Ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Poznaniu, skąd w okresie okupacji został wysiedlony w Kieleckie. Po wojnie wrócił do Poznania, potem przeniósł się do Głogowa (zm. w 1990 r.). Przez długi czas walczył z gruźlicą. Spełniał się zawodowo, mając się różnych funkcji, stanowisk i profesji. Był urzędnikiem magistrackim, wykładowcą, oficerem WP i AK, ślusarzem, rolnikiem i sołtysem, dyrektorem, prezesem, księgowym i inspektorem.

**Sorus**

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

Józef Dygas

**W kręgu komety
Halleya**

*Opowieść
o niezwykłych czasach
i przeżyciach autora
– lata 1905-1990*


Sorus

Redaktorka prowadząca
Klaudia Tomaszewska

Redakcja
Błażej Kuszczalski

Projekt okładki
Julia Filip

Skład
Maciej Torz

Copyright © by Adam Dygas 2024
Copyright © by Sorus 2024

Wydanie I, Poznań 2024

ISBN 978-83-66664-51-7 e-book

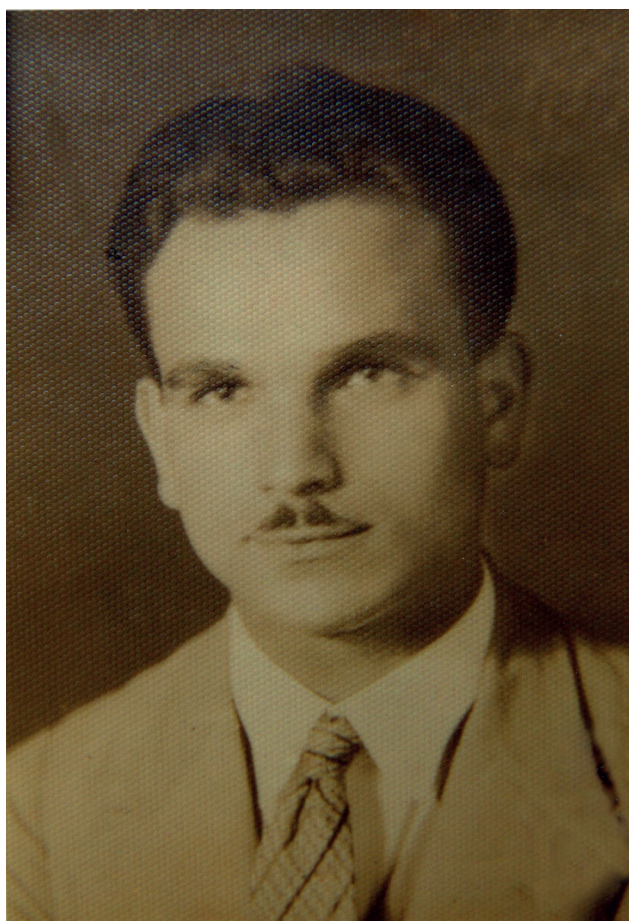
Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóźnicza 15/6, 61-751 Poznań tel.
+48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

CZEŚĆ I

Młodość 1905–1926



Józef Dygas – 1938 r.

Rozdział 1

Krosno i okolice

Kilka kilometrów od Krosna, po stronie północnej, przykuwa uwagę widok ruin zamku odrzykońskiego na wysokim szczycie, nad skalnym parowem. Piaskowe skały stanowią jego fundament. Jest to właśnie ten zamek, w którym Aleksander Fredro umieścił akcję swojej komedii „Zemsta” i o którym traktuje także utwór poetycki „Król zamczyska” Seweryna Goszczyńskiego.

Na samym szczycie, przy zamku, po stronie południowej, sterczą trzy wysokie, oddzielne głązy. Z daleka przypominają pochylone w jednym kierunku postacie ludzkie. Według legendy mają to być bezbożne prządki, które w Niedzielę Wielkonoćną, zamiast udać się na rezurekcję, zabrały się za przędzenie. Z wyroku Bożego za karę skamieniały. Utrzymuje się też legenda, że od zamku prowadził tunel aż do Krosna, który miał umożliwić ucieczkę z oblężonej twierdzy.

Zbudowany w XIV wieku gotycki zamek Kamieniec został przebudowany w stylu renesansowym w wieku XVI. Sto lat po przebudowie należał w części do wojewody Firleja i w części do kasztelana Skotnickiego. To między nimi toczył się wieloletni proces upamiętniony w komedii Fredry. Jeszcze na początku XIX wieku miał być zamieszkały, jak to wynika z poematu „Król zamczyska”, po czym popadł w ruinę.

Rzeczą charakterystyczną jest to, że granica, która kiedyś stanowiła kość niezgody w „Zemście”, dotąd faktycznie istnieje: połowa ruin należy do gminy Bratkówka, a druga do gminy Odrzykoń. Zarządy gmin nie doszły do porozumienia, kto i kiedy ma się zabrać za konserwację obiektu. Doprowadziło to do zawalenia się w najnowszych czasach najokazalszej części nad głębokim parowem. Ruina była i jeszcze jest romantyczną ozdobą okolicy. Widać ją w pogodne dni z Krosna.

Miasto Krosno, sięgające swymi korzeniami zamierzchłych czasów, nabrało dużego znaczenia za Kazimierza Wielkiego. Nazywano je nawet Małym Krakowem. Szczyt się wspaniałymi zabytkami, a wśród nich renesansowymi kamienicami przy Rynku, z rozległymi podcieniami, a także gotyckim kościołem Franciszkanów oraz farą – obie świątynie z XV wieku. Cenionym zabytkiem jest również późnobarokowy kościół Kapucynów. Obecnie Krosno stanowi ośrodek przemysłu naftowego i szklarskiego.



Okolice wioski Wojkówka

W przewodniku przedwojennym wzmiankowano, że dzwony fary odznaczają się urzekająco pięknymi dźwiękami. W okolicy słyszało się o nich piosenkę zawodzoną przez pasterzy:

*Przepięknie dzwonią
Krośnieńskie dzwony,
Nie chcę ja, Maryś,
Innej mieć żony.
Sypałby mi kto na miarki
Cwancygiery i talarki,
Nie porzucę cię, Marysiu!
Boś ty jedyna.*

Szczegóły o tych dzwonach można wyczytać z tablicy informacyjnej na wieży dzwonnicy przy kościele farnym. Wieża ma wysokość trzydziestu ośmiu metrów. Na jej barokowym hełmie mieści się baroskop. Wiszą też na niej dwa dzwony, które zafundował mieszczanin Bronisz w 1639 roku. Większy z nich to „Urban” o wymiarach: metr i pięćdziesiąt trzy centymetry wysokości, cztery metry i dziewięćdziesiąt centymetrów obwodu oraz dwie i pół tony wagi. Dla porównania dzwon Zygmunta

w Krakowie waży osiem ton. Natomiast mniejszy dzwon nazywa się „Jan Marian”. Oba odlali ludwisarze Miechoszczyn i Szymon Mentol.

Ze szczytów pobliskiego pasma górskiego oglądać można rozległe doliny rzek Jasiołki i Wisłoka. Do 1930 roku malowniczy widok stanowiły także liczne naftowe szyby wiertnicze w rejonie Potoku nad Jasiołką. Sięgając dalej wzrokiem, obserwator dostrzegał wijące się wstęgi owych rzek, pasma dróg kołowych ożywione licznymi pojazdami, a między nimi pełzające gąsienice pociągów ze smugami dymu z parowozów.



Rzeka Wisłok

W początkach XX wieku na szosach nie było asfaltu, nawierzchnię umacniano żwirem i piaskiem. Za każdym pojazdem snuły się więc tumany kurzu. Z kolei parowozy opalane węglem wyrzucały z komina mrowie świecących iskier. Widowisko piękne, ale groźne, bo padające iskry często wzniewały pożary.

Rozdział 2

Gniazdo rodzinne

W wiosce Wojkówka, pięknie położonej nad wysokim, wschodnim brzegiem Wiśloka, w odległości stu metrów od nurtu rzeki stał typowy drewniany wiejski dom, jaki można obejrzeć w skansenie w Sanoku. Ściany z grubych świerkowych bali, gładko ociosanych, miały głębokie szpary między nimi, od wewnątrz i zewnątrz potykane twardo mchem, zalepione gliną równo z licem ścian.

Strona zewnętrzna pozostawała w naturalnym kolorze. Ściany wewnętrzne białone były wapnem przed Wielkanocą. Strop na strychu, zaizolowany grubą warstwą gliny, dobrze zabezpieczał przed zimnem. Dach wysoki kryty był strzechą. Na strychu przechowywano siano, w którym znakomicie dojrzewały owoce, roztaczając przyjemny aromat. Część mieszkalna domu składała się z dużej izby z piecem kuchennym połączonym z dużym piecem chlebowym oraz z izby sypialnej z przyległą komorą. W sieni (korytarzu) stała duża beczka dębowa na kiszoną kapustę; zaprawiano ją koprem lub kminkiem, pokrojoną marchwią i jabłkami oraz solą.

W małych gospodarstwach wiejskich jeszcze w latach dwudziestych używano żaren. Był to typowy gospodarski młyn wiejski, często umieszczony także w sieni. Do obracania górnego kamienia służyła żerdź okrągła, która dolnym, zaostrozonym końcem tkwiła w wydrążonym gniazdku na krawędzi tego kamienia. Górny jej koniec ujęty był w wystającej ze ściany drewnianej listwie, a siłę napędową stanowiły ramiona.

W osobnej komórcie mieściła się kadź – wysoka beczka o trzech nogach, rozszerzająca się ku dołowi. Służyła do gotowania pranej bielizny. Nalewało się do niej wody do połowy, a czynność tę wykonywało się przy okazji wypieku chleba, gdy z palącego się w piecu grubego drewna powstawało dużo żaru. Do żaru wkładało się okrągłe kamienie i gdy rozgrzały się do białości, wrzucano je do napełnionej wodą kadzi. Woda zaczynała się gotować i trwało to dosyć długo. Z kolei do kadzi wrzucano wymoczoną bieliznę, posypując ją popiołem z drewna. Wytwarzał się ług, mydło nie było potrzebne.

Do końcowego prania nie zawsze była w użyciu tarka. Z domów położonych w pobliżu bieżącej wody przynosiło się pranie nad brzeg rzeki. Kładło się ciężką de-

skę na kamieniach tak, by nie pływała. Na niej układano wygotowane sztuki i spryskując wodą, uderzano kantem kijanek, czyli krótkich desek z uchwytem. Po tej czynności wypłukiwano prany materiał w płynącej wodzie, uzyskując idealnie czystą bieliznę pachnącą świeżością. Były to prace typowo kobiece. Żaden mężczyzna we wsi nie ważył się splamić swego honoru tym pożytecznym, ale mozolnym zajęciem.

W obrębie gospodarstwa znajdowały się maszyny i narzędzia, na których wprawił się przyszyły dziedzic już od dziecka. Nie wypada też pominąć stodoły i wozowni. W pobliżu domu stała głęboka na osiem metrów studnia cembrowana z najlepszą w osadzie wodą głębinową. Sterczał nad nią bardzo wysoki żuraw z wiadrem do nabierania wody. Dom otoczony był ogrodem. Do gospodarstwa należały również cztery działki pola uprawnego w okolicy oraz odmiały z krzakami wiklinowymi po dwóch przeciwległych brzegach rzeki Wisłoki – w pobliżu domu. Ogród z frontu przy drodze zamknięty był dużymi wrotami i dalej płotem z drewnianymi sztachetami, po bokach zaś i od strony nadrzecznej – płotem wiklinowym. Dwie smukłe, bardzo wysokie lipy, po bokach bramy wjazdowej, stanowiły piękną ozdobę zagrody i najłatwiejszy drogowskaz dla pytających o ten dom „pod lipami”.



Dom na miejscu starej chaty

Stodoła zbudowana z grubych, okrągłych pni świerkowych, kryta strzechą słomianą, składała się z boiska pośrodku (twardo ubite klepisko) oraz dwóch sąsiedków na snopy zbóż lub na słomę. Stała tuż przy drodze. Na „boisko” wjeżdżało

się ze zbożem w snopach wysoko załadowanych na drabiniastym wozie, po czym wyładowywano snopy do sąsieków. Pod jednym z nich mieściła się głęboka, mурowana piwnica z grubego kamienia. W lecie było w niej bardzo chłodno, nawet w najbardziej upalne dni, a zimą nie docierał do niej mróz. Stanowiła bezpieczną przechowalnię żywności, mięsa, nabiału, mleka w dużych kamiennych garnkach. Do stodoły przylegała wozownia.

Zaściankowa motoryzacja

Wóz służący do przewozu warzyw, drewna, piasku, obornika, cieląt czy krów, no i oczywiście ludzi, miał koła okute żelaznymi obręczami. Do każdego rodzaju przewozów należało go odpowiednio przeformować: rozbierać, skracać, wydłużać. Do zboża i siana stosowano po bokach długie, szerokie drabiny z pawężą i mocnymi sznurami do mocowania snopków. Do cegieł, sypkich materiałów i ziemniaków zabudowywało się wóz długą skrzynką zbitą z desek i poprzecznych zastawek. Do drewna mogły służyć drabiny lub tylko same kłonicie.

Do przewozu ludzi wkładało się czyste deski lub wąskie drabiny albo półkoszki, czyli coś w rodzaju połówek koszy wiklinowych. Siedzenia moszczono derką lub kocem, a niekiedy okrywano kolorową tkaniną. Z takiego zaszczytu korzystał zwykle ksiądz przywożony raz w tygodniu do szkoły lub honorowi goście. Drogi i szosy miały nawierzchnie żwirowe, mniej lub bardziej utwardzone, ale zawsze z nierównościami wybitymi przez żelazne obręcze kół. Jazda na wozie w półkoszkach, na nieelastycznym siedzeniu, stawała się podczas długiej jazdy torturą. Wózek podskakiwał, trząsał się nieustannie, a jadący dygotał jak w febrze. Autobusy nie były jeszcze znane. Najdogodniejsze przejazdy zapewniała więc kolej, ale do odległych stacji należało dojechać najpierw takimi „komfortowymi” pojazdami konnymi.

Przyszły właściciel gospodarstwa nad Wisłoką musiał uporać się z tymi problemami, założyć ponadto ciężkie chomąto koniowi, co dla подростка nie było łatwe.

O „boisku” w stodole wspomniano, dlatego że na tym klepisku odbywały się ważne prace gospodarskie: młócka zbóż cepami, rżnięcie siewki, wianie wymłóconego ziarna. Snopy rzucało się na klepisko kłosami zwróconymi do środka, rozwiązywało się je i rozkładało luźno, po czym uderzało cepami; ziarno pozostawało na klepisku. Gdy do młócki stanęły trzy osoby, uderzenia wybijały rytm jak do walczyka – raz, dwa, trzy! Po sprawdzeniu, że kłosa są już puste, wiązało się słomę powrózłami. Słoma służyła na paszę bądź jako pokrycie dachów.

Ziarno przepuszczało się przez wialnię, a motorem do uruchomienia maszyny były mięśnie ramion. Po młócce na boisku stawała siewkarnia z nożami osadzonymi na walcu z osią. Na końcach osi wisiły dwa duże koła zamachowe z korbami

do ręcznego obracania. Do tychże kół zamachowych stawały dwie osoby, trzecia nakładała słomę. Dziennie należało nakrajać kilka opalek (półokrągłe kosze wiklinowe) sieczki.

Do wyrobu nici i tkanin używany był len i konopie. Z konopi uzyskiwało się długie, mocne włókna na powrozy, sznury oraz płachty i worki. Cieńsze i delikatniejsze włókno lnu nadawało się na płótno.

Dziecięce lata

W tym to domku pod lipami zjawił się w mroźną, styczniową noc oczekiwany męski obywatel Józef D. Najpiękniejszą z planet przywitał, jak przystało, głośnym wrzaskiem. Przybył bez fanfar, bez orderów, bo chyba w niebiosach i cesarsko-królewskiej częścce Polski zarejestrowano go jako masę pracującą. Byłoby pięknie, gdyby jedynakowi brzydkiej płci nie zrodziły się w małej głowie psie figle. Po paru godzinach odmówił ofiarowanego pokarmu, zaczął ciężko oddychać i tracił przytomność. Przerażone otoczenie decyduje: lekarz daleko, chłopak może umrzeć nim dojedzie, trzeba przewieźć do parafii i ochrzcić. Konie pędzą galopem, wózkiem tak rzuca, że malec wraca do przytomności. Ksiądz nie żałuje święconej wody. W drodze powrotnej malkontent zaczął się uśmiechać. To chyba cud – orzekła chrzestna mama.

A może to tylko mały rozmyślił się, bo po co się śpieszyć do tego nieba, skoro okazja może się nadarzyć jeszcze wielokrotnie. Po pierwszych wybrykach usatkwował się i rósł. Gdy nauczył się chodzić, nieodstępnie towarzyszył mamie, trzymając się jej fartuszka, bo zajęta pracami domowymi nie miała czasu na zabawę. Przyszedł moment, że pewne szczegóły zaczęły docierać do jego świadomości. Bawiąc się ze starszą dziewczynką, zauważył pokazane mu puszyste chmurki na błękitnym niebie, kłęby dymu wylatujące z komina, jaśniejący wieczorem w pełni księżyc na niebie – były to nowe odkrycia, zaczął radośnie wyciągać ręce i klaskać z uciechy. Liczył już trzeci rok. Starsza siostra, nazywając go Jutkiem [red.: od Ziutek], dzieląc się z nim cukierkami, przysposabia malucha do pasania bydełka, bo przecież jej, czternastoletniej pannie, już to nie przystoi. Podawała mu kijek, by zwracał od szkody krówkę. Malec był dumny, że takie duże zwierzę z rogami umyka przed nim. Mniej pomyślnie skończyła się wyprawa z kijkiem po młodą, czarną jałówkę. Ugodzona w swój krowięcy honor, że takie małe lichy grozi jej kijem, dopadła intruza, uderzyła łbem w brzusek, zarywając krótkim rogiem w ciało. Otworzyła się spora rana, po której aż do starości pozostała widoczna blizna. Do wnętrzości czarne diablątko na szczęście się nie dostało. Znowu była okazja awansowania na aniołka.

Kometa

W głowie pięcioletniego myśliciela tłoczyło się mrowie dostrzeganych w jego polu widzenia zagadek, dziwności, których mimo tłumaczeń starszych nie mógł pojąć. Choćby o tych ciemnych chmurach czy mocarnych robotnikach przetaczających z rumorem ciężkie beczki z piwem, z których niektóre czasem pękały z wielkim trzaskiem. On nigdy ich nie widział, więc jak to jest? Do tych niepojętych zagadek doszła jeszcze jedna, groźna i przerażająca.

W majowy wieczór zajaśniała na zachodnim nieboskłonie wielka gwiazda z ogromnym świetlistym ogonem. Mówiono, że to kometa. Widok jej świetlistej głowy i połyskującego warkocza był wyrazisty, a jasność silniejsza niż światło księżycy w pełni. Zaćmił wszystkie gwiazdy, zajmując wraz z warkoczem część nieba na zachodzie. Mieszkańcy wioski wybiegali przed swoje zagrody przejęci grozą i lękliwie milczeli. Po dłuższej chwili odezwały się ściszone głosy, że kometa zapowiada zbliżające się nieszczęścia lub katastrofy, jeśli nie wojny, to potop lub coś jeszcze gorszego.

Z czasem, po latach, mały obserwator dowiedział się, że była to kometa Halleya. Ukazała się w maju 1910 roku, wywołując panikę na całym świecie, a ówczesni astronomowie zapowiadali nawet koniec świata. Jej obieg dookoła słońca, jak ustalono, powtarza się od tysiącleci co siedemdziesiąt sześć lat, można więc oczekiwać, że wróci i ukaze się w roku 1986. Józek ze strachu przed niezwykłą gwiazdą trzymał się mocno fartucha mamusi, gotów w każdej chwili schować się pod nim, jak pod bezpiecznym puklerzem.

Od piątego roku życia stale biegał z siostrą koło krówek, a w następnych latach stał się etatowym pastuszkim. Miał przy sobie własny kozik. Wyrabiał ze świeżej wikliny laseczki, koła, a z czasem fujarki, gwizdki, wiatraczki i wiele innych zabawek. Że niedopilnowane bydłatka wpadały „na cudze”, to już nie ich wina, ale za szkody trzeba było płacić. Krówki miały jeszcze jeden przykry obyczaj: przy lada okazji rozbierały płot upleciony z wikliny, oddzielający od pól warzywnych z marchewką, buraczkami i zieloną trawą po drugiej stronie rzeki. Poprzez dziurę w płocie rwały z podniesionymi ogonami na drugą stronę rzeki. Mały pasterz niewiele mógł tu poradzić.

Wisłok, krnąbrna górską rzeką, często skutkiem deszczów szeroko się rozlewał. Podczas takiego wylewu krówki popędziły poprzez płoty po stromych zboczach i wpadły do rwącej wody. Mieszkańcy wioski tłumnie wylegli na wysoki brzeg, by obserwować nieujarzmiony żywioł. Józek nie miał odwagi biec za zbiegami, bo oznaczało to niechybną śmierć. Wszyscy widzowie byli przekonani, że te trzy krowy i cielak zostaną pochłonięte przez żywioł. Ale one płynęły, widać ich głowy, rogi... Zniosło je pół kilometra niżej, dotarły do płytszego zalewu, wyszły spacerem na wyżej położone pole, na świeżą koniczynę. Cud! – przekrzykiwali się ludzie.

Chłopiec prawie omdlały z przerażenia pomału przychodził do siebie. To mogła być klęska, nieunikniona nędza i głód. O tym już wiedział. Krówki należało sprzedać, doradzał ktoś, i kupić mniej dowcipne. Mama się na to nie zdecydowała, bo posiadały też swoje zalety: były zdrowe, nigdy nie chorowały, dawały dobre mleko i nie miały wielkich wymagań, co do paszy.

Józek wchodząc w ósmy rok życia, zaczyna uczęszczać do szkoły, wtedy jeszcze czteroklasowej. O zgrozo! Nie umie pływać, na koniku jeździ słabo. Niektórzy rówieśnicy mają organki i wygrywają na nich znane piosenki. Górują nad nim. Czy jest gorszy od nich? Trzeba się tego wszystkiego, nie zwlekając, nauczyć.

Jest lato, upał. Kto żyw pędzi nad rzekę. Co za rozkosz, gdy się pływa. Ale jak się nauczyć pływać, skoro starsi nie mają czasu. Trzeba samemu. Spróbuje. Szuka miejsca z płytką wodą. Wchodzi po pas, macha rękami, bije nogami, łyka niesmaczną wodę, ale na dno nie poszedł. Zmachał się, więc odpoczywa, po czym zaczyna od nowa. Powtarza tak do zupełnego zmęczenia, nikt na mikrusa nie zwraca uwagi. Po dwóch dniach przepływa dwa, trzy metry. Chciałby popłynąć dalej, ale tam głębia, boi się. Starsi chłopcy skaczą tam z tratwy do wody. Rajska zabawa. Widząc, że nasz pionier pływa tylko przy brzegu, podprowadzają tratwę bliżej, a potem dla żartu lub dla zachęty odpychają na środek, gdy zaczął się do niej zbliżać. Nagle uświadomił sobie, że jest nad głębią, a tratwa jeszcze daleko. Z przerażenia, jakby tknięty paralizem, przestał poruszać rękami i nogami. Poszedł pod wodę, wciągnął go wir. Starsi chłopcy nurkują i znajdują go. Ratowanie trwało dość długo, a młodzi ratownicy już tracili nadzieję. Topielec pamięta mimo upływu wielu lat, że ani przez moment nie odczuwał jakichkolwiek przykrych doznań. Wykonał pierwszy punkt programu, nauczył się pływać.

Z koniem nie poszło tak łatwo, choć był grzeczny i stateczny. Siodło było jednak nieosiągalne. W czasie jazdy trzeba więc trzymać się nogami i chwycić za grzywę. Ćwiczenia dawały efekt, Józek czuł się coraz pewniej.

Zaszła kiedyś potrzeba wybrania się do osady w górach. Iść pieszo nie wypada. Droga w górę wygodna, ale powrót mniej przyjemny. Póki pochyłość była niewielka, konik schodził wolno, ale jego głowa znalazła się niżej ogona. Mały jeździec zaczął się zsuwać na koński kark. Koń przyspieszył kroku, a kawaler będąc już na jego karku, zacisnął nogi na wąskiej szyi gniadosza. To go spłoszyło, więc chłopak zjechał głową w dół i tylko nogi wciąż obejmowały koński kark, a ręce nie puszczały grzywy. Przed oczyma migają przydrożne krzewy, zarośla, nogi i ręce mdlały z wysiłku. Przerażenie coraz bardziej obezwładniało chłopca, czuł, że za chwilę odpadnie, a pędzący koń stratuje go kopytami. Stromizna na szczęście skończyła się, a ogierek widocznie ocenił, że taka pozycja nie jest zbyt wygodna dla jeźdźcy i sam z dobrej woli przystanął. Chłopak znowu ocalał i już od tego momentu potrafił utrzymać się na koniu.

Zabrał się teraz do nauki gry na organkach. Ma przecież w pamięci i umie zaśpiewać sporo piosenek, których nasłuchał się od drugiej starszej siostry – Marii. Najczęściej nuciła smętne dumki ukraińskie i piosenki ludowe, takie jak: „Jechał kozak zaporoski w pozłocistej zbroi...” albo „O mój rozmarynie rozwijaj się...” albo „Zakwitały pęki białych róż...” albo „Czarne oczy miała, czarnymi patrzyła...” albo „O gwiazdeczko coś błyszczała...” albo „A gdy słońce będzie i pogoda...” czy choćby „Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły...”.

Chłopcu najbardziej podobała się:

*W zielonym gaju rosta kalina,
A w niej ukryta była ptaszyna...*

Po miesiącu muzykant mógł już popisywać się graniem każdej znanej piosenki. Ambicja podpowiadała mu, żeby nauczyć się także tańczyć, wszelako samouczka do tej sztuki dla ośmiolatek nie było. Wstyd byłoby dopraszać się, by któraś z sióstr zechciała fatygować się z ledwo dorosłym od ziemi kawalerem. Zachciankę należało odłożyć na przyszłe lata.

Jak już wspomniano, szkoła była czteroklasowa. Uczyl tylko jeden nauczyciel. Uczęszczało do niej czterdziestu uczniów. Nauka odbywała się na dwóch zmianach i w grupach po dwie klasy jednocześnie. Każda klasa siedziała w osobnych rzędach ławek. Nauczycielowi niewiele zostawało czasu na dokładne objaśnianie i nauczanie rachunków, czy też trudnej dla maluchów nauki czytania – składania sylab i słów. Na początku Józek nie umiał poradzić sobie z tymi zagadkami. Mama zaś zajęta gospodarstwem nie spostrzegła, że chłopak ma trudności. Gdy po paru dniach zauważyła, przysiadła i bardzo łagodnie, ze spokojem wymawiała zgłoski, łącząc ich dźwięki w jedno. Powtarzała kilka razy. Zaczęło mu się w głowie rozjaśniać. Po dwóch dniach ćwiczeń trudności zniknęły. Niektórzy uczniowie długo nie mogli nauczyć się czytać, gdyż rodzice nie potrafili im pomóc.

Nauczyciel, mimo że był wymagający i nie szczędził razów, robił to jednak na wesoło. Lubił porozmawiać, interesował się domem, starał się pomóc lub doradzić. Za pilność nie szczędził pochwał. Do szkoły chodziło się chętnie, choć nauczyciel z wyglądu i postawy wydawał się bardzo surowy.

Drugim wychowawcą, ale z dziedziny religii, był młody ksiądz katecheta. Według wyobrażenia Józka słowo ksiądz należałoby pisać wielkimi literami, a wymawiać cicho, z nabożeństwem. Ksiądz przywoził nieodmiennie w czwartek ten sam gospodarz. Wszedłszy do klasy, po religijnym przywitaniu, dawał znak do recytowania modlitw po kolei: *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Mario*, *Wierzę w Boga Ojca* i kolejno wszystkie przykazania. Miał zwyczaj chodzić między rzędami ławek. Z osobna przepytывał młodszych ze znajomości pacierzy i przykazań, a starszych z katechizmu i biblii.

Każdy uczeń miał obowiązek posiadać własny katechizm. Kto podpadł, otrzymywał w upominku wykręcenie ucha. W miarę coraz silniejszego zaciskania ucha delikwent stawał na palcach, ucho czerwieniało, piekło, trzeba je było rozcierać.

Ksiądz był zawsze poważny, nigdy się nie uśmiechał i nie wdawał w rozmowy z uczniami. Ubrany w czarną sutannę i wysokie błyszczące buty budził poszanowanie i utajony lęk. Wydawał się być nie takim zwyczajnym, bliskim, żywym i uczuciowym człowiekiem, ale dalekim jak postać świętego z kościoła, zgoła nietykalnym. Nikt we wsi nie widział i nie słyszał, by brał udział w wesołych zabawach, by tańczył. Czasem tylko katecheta lub proboszcz brał udział w zebraniach, udzielał rad, a zaproszony w gościnę na uroczystość weselną zachowywał się bardzo wstrzemięźliwie. W oczach ucznia trzeciej klasy wysokie uważanie otaczało duchownego żyjącego samotnie, bez baby i bez dzieci. Na wsi nie mówiono żona, tylko baba albo moja.

Nie zdążył chłopak ukończyć czwartej klasy przed pierwszą wojną światową. Nastąpi to później, po dłuższych przerwach.

Wśród uczących się w wiejskiej szkole wyróżniała się Marysia. Miała szczególne zdolności do rysunków. Kreśliła, malowała na papierach rysunkowych, gdzie popadło. Malowała bryczki, piękne konie, pejzaże. Kiedyś przechodzący malarz ze zdumieniem zauważył rysunki wyrażające pęd koni z bryczką. Uznał je za nieprzeciętne i twierdził, że są oznaką dużego talentu, którego nie wolno zmarnować. Nakłonił rodziców do dalszego kształcenia córki. Skończyła szkołę malarską we Lwowie. Po latach Józek widział jej piękne obrazy – panoramy, obrazy rozpędzonych koni, miniatury. Zastanawiało go, jak można pędzlem i farbą pokazać, z jakiego drzewa leżą porąbane polana na opał. Odróżniał w nich drewno olchowe, dębowe, bukowe. Zapytana już po wojnie, dlaczego jej obrazów nie widać na wystawach, wyjaśniła, że robiła starania, ale tylko modernistyczne bohomyzy robią karierę, poprzestała więc na posadzie nauczycielki rachunków w liceach. W latach dziecięcych Józek marzył i kombinował, jakby się zasłużyć, ocalając jej życie, na przykład z rąk zbójców, a także jak by się z nią ożenić. A ona nic nie wiedziała o amorach jej ośmioletniego wielbiciela.

Ciężką zmorą, która dręczyła chłopca do dwunastego roku, była obsesja siostry Marii, która kochała tego wierzyciętę i uważała, że wychodząc z domu do kościoła, do szkoły czy „na wieś”, ma być zawsze szykownie ubrany w kolorowe ubranka i zdobny kapelusik z dużym rondem. Wyróżniało go to wśród rówieśników, nazywali go więc paniczem, co bardzo go złościło. Próbował przeciągnąć mamę na swego sojusznika i wydostać się spod dyktatury nieugiętej siostry, ale się nie udało. Za czyje grzechy muszę tak bardzo cierpieć, wzdychał ciężko.

Księdza katechete, o którym była mowa, darzył wręcz kultem, ale uważał, że roztropniej będzie nie podchodzić zbyt blisko. Chował też do niego małą urazę. Katecheta często bowiem nazywał uczniów smarowozami, mimo że do szkoły chodzili z wymytlonymi uszami i w czystych ubrankach. Natomiast bardzo polubił Józek wikare-

go Szurka z parafii za niezrównanie piękne celebrowanie mszy. Ludzie oczarowani jego śpiewem wersetów z mszału, jak prefacja przed Podniesieniem, Pater Noster i inne, a szczególnie ostatnią frazą: *Ite, missa est!* – zastygali niemal w zachwycie z odczuciem, że te śpiewane modlitwy płyną prosto pod niebiosa i unoszą ich dusze do Boga.

Ksiądz w czasie przygotowywania ośmiolatków do pierwszej komunii przyciągał do siebie łagodnym, przyjacielskim podejściem, pytał o rodzinę, dom, za dobrą odpowiedź zawsze pochwalił. Sława opromieniająca wikarego Szurka nie spodobała się władzom kościelnym, zarządzono zatem przeniesienie go do odległej parafii. Zrozpaczeni parafianie zagrodzili mu drogę, błagając, by pozostał. Z trudem wytłumaczył, że z żalem ich opuszcza, ale nakaz musi wykonać.

Po nim nastął wikary ks. Kopacz. Przyznano mu coś w rodzaju dzisiejszych wczasów dla wypoczynku i podreperowania zdrowia. Z miejscowych chłopców wypatrzył sobie Józka i poprosił jego mamę o pozwolenie na kontaktowanie się z nim. Miał służyć do mszy, załatwiać różne sprawy. Wyróżniony chłopak czuł się onieśmielony powagą i dostojeństwem księdza. Ten rozbroił go swoim łagodnym i przyjacielskim traktowaniem, nauczył ministrantury. Józio pomagał księdzu w pracach jak również w wykonywaniu drewnianych mebli, co było ulubionym zajęciem księdza. Lubił też ubieranie księdza do mszy i „ministrantowanie”. Józek nabrał upodobania do pełnienia roli ministranta podczas sumy w kościele, nawet gdy licząc już szesnaście lat, przyjeżdżał na wakacje. Po roku ksiądz wypoczęty i zdrow wrócił do swojej parafii. Przyjaźń nie wygasła. W chwili smutnego pożegnania ksiądz wikary wręczył chłopcu w skórę oprawny wielki „Atlas Korzenny”, zaopatrując go w dedykację: „Na wieczną pamiątkę w dowód przyjaźni” z własnoręcznym dekoracyjnym podpisem.

Niepokój ogarniał zawsze miejscową ludność na widok zbliżających się od zachodu ogromnych, szaro burych chmur. Polatywały błyskawice, słychać było ponnure pomruki. Nim burza dosięgła doliny rzeki, upływały jedna lub dwie godziny. Obawa rodziła się ze wspomnień poprzednich huraganów. Towarzyszyły im liczne wyładowania z piorunami, gwałtowna ulewa połączona niekiedy z oberwaniem chmury, wichura często łamiąca drzewa i rujnująca dachy. Podczas każdej burzy niosły się srebrzyste dźwięki dzwonka nazywanego przez tutejszą ludność – loretańskim. Wierzono, że pochodzi on z kościoła w Loretto, sławnego z cudownego obrazu Matki Boskiej z Nazaretu i że jego dźwięki mają moc rozpraszania groźnych chmur burzowych.

Dzwony obsługiwała Aleksandra. Gdy zaniemogła, wichura odprawiała swoje zwykłe harce. Aleksandra dzwoniła regularnie o szóstej rano, w południe na Anioł Pański i po zachodzie słońca; dzwoniła również przed mszą i podczas odprowadzania zmarłych na cmentarz.

Podczas swej ostatniej po latach wizyty w stronach rodzinnych Józef wspominał o tych groźnych burzach, ale miejscowi mieszkańcy Wojkówki zapewniali, że w ostatnich czasach tamtejsza aura uległa zmianie, ponieważ gwałtowne niegdyś zjawiska natury są obecnie rzadkością.

Wojkówka była małą wioseczką, ale wykazywała dużą żywotność. Imprezy organizował miejscowy nauczyciel oraz kierowniczką poczty z sąsiedniej wsi. Pomagali dawniejsi koledzy szkolni z Krosna. Ci ostatni urządzali przeważnie w niedziele lub święta pogadanki na różne tematy (z przeźrocami!), na które dopuszczano również małych tubylców od sześciu lat. Szczególnie ciekawe były prezentacje krajoznawcze o obcych krajach. Budziły zachwyt pokazy niebotycznych gór. Zdumiewały prymitywne wioski murzyńskie, długie karawany wielbłądów i groźne zwierzęta afrykańskie, bawiły zabawne i wesołe mały. Dla starszych urządzano też poważne odczyty o prowadzeniu gospodarstw rolnych, rasowych zwierzętach hodowlanych, nawadnianiu i odwadnianiu gruntów. Sala szkolna była zawsze pełna słuchaczy. Po zebraniach uruchamiano gramofon z wielką wygiętą tubą i słuchano wesołych piosenek.

Późną jesienią czy zimą lub wiosną przed sianokosami, gdy nie było pilnych robót polowych, wielkim powodzeniem cieszyły się amatorskie przedstawienia. Odgrywano sztuki patriotyczne, a także „Karpackich górali”. W jednej ze sztuk występowała postać dziewczicy w koronie przedstawiająca umęczoną Polskę. W ostatnich latach przed I wojną światową występy i patriotyczne przemówienia o Polsce nie były w Galicji ścigane.

Siedmioletni wówczas Józek bardzo lubił wciskać się na gapę do przepelnionej sali. Pochorowałby się z rozpacz, gdyby nie mógł oglądać tych cudów na scenie. A trzeba dodać, że mimo braku wykształcenia gra domorosłych aktorów musiała być niezła, skoro ściągająca komplety widzów. Nikt z organizatorów ani aktorów nie miał średniego czy wyższego wykształcenia. Scenę budowali miejscowi chłopcy, przy czym każdy element był ponumerowany, ponieważ po przedstawieniu była rozbierana i gotowa do dalszego użycia. Rekwizyty wypożyczano z prywatnych domów, a stroje uzupełniano kreacjami z papieru i bibuły.

Organizatorzy nie zapominali o środkach bezpieczeństwa – palenie nawet w przerwach nie było dozwolone. Po przedstawieniu odbywała się zawsze zabawa taneczna z udziałem miejscowych muzyków. Nie zdarzyło się, by w czasie zabawy poszły w ruch noże lub kolki od płotów. Pijanych z butelkami nie wpuszczano na salę, policjant nie był tam potrzebny.

Ochoczo i żywiołowo odbywały się zabawy w przeddzień lub w wieczór świętojański na szczycie góry dominującej nad okolicą. Tu zbierała się młodzież, niekiedy też starsi, ale nigdy nie obyło się bez zawalidrogów, na których nie było siły, by ich odpędzić od tej niezwyklej zabawy. Chłopcy przynosili ze sobą stare, częściowo zetłałe kiczki z żytniej, twardej słomy, używane do krycia dachu. Te zetłałe i odrzucone

odkładało się na ściółkę, dobrze nadawały się też na ognie świętojańskie. W otwór w główce wkładało się długi kij, podpałało jej długi koniec i biegnąc, i wywijając kijem, rozdmuchiwało duży płomień. A że biegających było wielu, tworzyło się oślepiające mrowisko migotliwych światła widocznych na kilometry. Poza tym płonęło duże ognisko. Wkoło niego, uchwyciwszy się za ręce, tańczyły kręgiem dziewczęta i chłopcy. Rozlegał się śpiew popularnych piosenek, między innymi:

*...pobili się dwaj górale pod halami,
pobili się o góralkę ciupagami...*

Na zmianę przeskakiwali przez wysokie płomienie ze śmiechem, radością i tańcami! Choć tym razem bez kwartetu z cymbałkami, ta wirująca zabawa na wysokościach była hasłem do naśladowania jej na dalekich błoniach okolicznych miejscowości. Wyczuwało się złudzenie jakiejś czarodziejskiej nocy. Zachwycało się tym szczególnie lilipucie towarzystwo, że i ono, tak jak dorośli, bierze wieczorem udział w wesołej zabawie.

Wieczorami i popołudniami, wiosną i latem, w soboty lub w niedziele organizowano zabawy taneczne w plenerze. Na zboczu góry nad wioską, w szerokim wąwozie z szumiącym strumykiem, porastał piękny las z mieszanym drzewostanem. Wśród jodeł i świerków przeważały buki, rozłożyste dęby i graby. Wąwóz ten nazywano Debrzą.

Na jednym jego zboczu za zgodą właściciela, którym był miejscowy nauczyciel, pod kopułą grabów i dębów chłopcy wytrasowali polankę w formie koła o średnicy dziesięciu metrów. Na utwardzonej posadzce ustawili długie ławy i podwyższenie dla znanego już kwartetu. W pobliżu znajdował się też bufet z napojami dla starszych i smakołykami dla dzieci. Na gałęziach porozwieszano różnokolorowe lampiony.

Sygnał do rozpoczęcia zabawy dawało donośne bębnienie. Panował zwyczaj, że co śmielszy tancerz stawał przed skrzypkiem jako pierwszym według znaczenia w orkiestrze i zamawiał odpowiednią ilość tańców, rzucając do otworu w skrzypkach umówioną kwotę. Do każdego tańca intonował pierwsze słowa i melodię, którą kwartet miał odegrać. Tańce rozpoczynano „chodzonym”, a potem grano polki, walczyki, oberki, kujawiaczki i niezawodne galopki. Pierwszy tancerz, obchodząc wkoło taneczną arenę, wybierał swych bliższych kolegów, prosząc ich do koła i rozpoczynając w ich towarzystwie męski taniec chodzony. W takt orkiestry odbywał się szybki, sprężysty marsz wkoło ze śpiewem, przysiadami i skokami. Do chodzonego intonowano zwykle piosenkę:

*Chodził do niej całe lato,
Dawała mu buzi za to...*

Gdy orkiestra odegrała pierwszy numer, tancerze pozostawali w kole, a po zaintonowaniu drugiej melodii wybierali tancerki i wprowadzali do tanecznego kręgu. Teraz były to już tańce parami. Sytuacja powtarzała się, gdy znaleźli się następni tancerze gotowi opłacić orkiestrę. Były też i „białe tańce”, do których dziewczęta wybierały partnerów. Śpiew i muzyka niesły się daleko i były to zabawy „nie z tej ziemi”, jakby to dzisiaj powiedziano.

Małe smyki szalały z uciechy. Biegały i skakały w takt muzyki, ale gdy zmrok zapadał, nikt już nie miał dla nich litości. Jeden ze starszych zbierał gromadkę i zaprowadzał do wsi. Jeden z mikrusów, Józek, nie widział nigdy, aby w czasie zabawy lub po niej spotykano zalanych imprezowiczów. Czujna organizacja pilnowała, by zbyt spragnionym ograniczać dostęp do wódki.

Duże wrażenie na mieszkańcach Wojkówki wywierały występy młodego ekszołnierza z austriackiej jeszcze armii. Izidor Świerad był w wojsku zapewne pułkowym trębaczem. Swoją grą wzruszał każdego słuchacza, wygrywając różne melodie, a w cieplejszych porach roku, wychodząc wieczorem na zbocze góry, odgrywał kościelne pieśni: „Serdeczna Matko...” lub „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”. Kto mógł wychodził wtedy przed dom i przeżywał razem z grajkiem piękno i podniosłość wykonywanej modlitwy. Z wielkim żalem mieszkańcy wioski przyjęli wiadomość o utracie przez niego nogi w pierwszym roku wojny. Po powrocie do domu wkrótce zmarł.

Niezwykłe odkrycie dokonane przez ewakuowanego mieszkańca Jarosławia wywołało żywą uciechę we wsi. Otóż mieszkaniowiec ów, poszukując tymczasowego schronienia, natrafił na pogórzcu mały, drewniany i kurny domek pod strzechą. Była w nim jedna izba bez komina z paleniskiem w środku, które służyło i do gotowania stawy i ogrzewania pomieszczenia. Dym kłębiąc się, uchodził szczelinami pod powałą. Ściany i powała były oczywiście sownie osmolone sadzą; zapach ten przykro wiercił w nosie. W izbie, według relacji tego przybysza, zastał on jak w Betlejem świętą Rodzinę, mężczyznę z pokaźną brodą, młodszą od niego kobietę, mogłaby być Najświętszą Panną Marią, i opodal w rogu izdebki – źłóbek i siano za drabinką, a przy nim kozę, niby coś w rodzaju osiołka. Niestety nie doszukał się Dzieciątka. Można przypuszczać, że i gwiazdy przewodniczki nie zobaczył, bo nie był tego godny.

Kawalerowie pozwalali sobie niekiedy na dowcipne w ich przekonaniu figle, choć w rzeczywistości przysparzały sporo kłopotów. Zaszczycane były domy zamieszkałe przez interesujące ich panny. Nocką, sprawnie i po cichutku wciągano na kalenicę dachu stodoły wóz (latem) lub sanie (zimą), albo kołyski dziecięce, pługi czy brony. Musiało przy tym pracować kilku silnych, sprawnych chłopaków. Rano następnego dnia wielka sensacja i komentarze, której to pannie kroi się ślub, z kim i kiedy. Widok był rzeczywiście uciészny. Rozbawione panny zwykle wykrywały

sprawców i z udaną nieświadomością zapraszały zuchów do pomocy przy zdejmowaniu. Z kolei chłopcy stawali się przedmiotem żartów. Pytano na przykład, skąd przyniósł kołyškę? Skąd miał wiedzę, że będzie potrzebna?

Do siódmego roku życia Józkowi czas wypełniały zabawy, pasienie krów i gęsi. Potem doszła szkoła i konieczność pomocy w zajęciach gospodarskich. Chłopiec chciał jak najprędzej pozbyć się poniżającego w jego mniemaniu tytułu dziecka i zyskać na powadze jako mężczyzna, wykonując takie same roboty jak dorośli.

Chodził za pługiem, pomagał sadzić ziemniaki, wprawiał się w koszeniu trawy swoją malutką kosą, nauczył się klepać jej stępione ostrze, ostrzył pilnikiem motyki, łopaty, a na brusie (szlifierce) – sierpy. Naprawiał uszkodzone płoty, furtki i pomagał sierpem żąć zboże. Dorośli mężczyźni zboże kosili, ale nie zawsze, bo z przejrzałej pszenicy za każdym ostrym zagarnięciem kosy wysypywało się ziarno na ziemię. Józek brał też udział w wykopkach, zbierał ziemniaki i odnosił do stojącego w pobliżu wozu. Stawał też do żaren i pomagał siostrze mleć zboże na mąkę lub śrut, a że nogi miał za krótkie, podstawił sobie stołek. Jesienią kręcił korbą sieczkarni, zadawał krowom karmę z siewki zmieszanej z rozdrobnionymi burakami, marchwią i brukwią, podawał siano. Nie uchylał się od młócki zboża w trójkę, bo podobał mu się rytm walczyka wybijany cepami. Kręcił korbą wialni, dostając zadyszki, rąbał cienkie konary na opał. A gdy nastala zima miał dodatkowe zajęcia; gdy kora wiklinowych prętów pozbyła się soków, wyrabiał z nich opałki, okrągłe kosze wiklinowe o różnych wielkościach.

Mały gospodarz nie posiadał się z dumy, gdy kupiono młodego konika i mógł go samodzielnie zaprzęgać i powozić. Udawało mu się to, bo konik był taktowny, dobrze wychowany i nie okazywał brzydkich narowów, łatwo poddawał się kierowaniu. A co za rozkosz była w jeźdźeniu wierzchem, na oklep, z wyjątkiem pamiętnej jazdy kłusem z góry na końskiej szyi.

Tak było do wybuchu wojny. Potem w miarę upływu lat ambitny minigospodarz podejmował się coraz cięższych prac, pozostając w gospodarstwie do trzy nastego roku życia, to jest do zakończenia wojny. Ciężka praca od najmłodszych lat zahartowała go i sprawiła, że okrzepł i był silniejszy niż jego rówieśnicy. Na rozrywki i zabawy nie pozostawało mu czasu.

I wojna światowa

Rozpoczął się pobór żołnierzy na wojnę. Podczas pożegnań odjeżdżających rozlegał się rozdzierający płacz i zawodzenie najbliższych osób. W oczach rozpacz, przerażenie. Wszyscy wiedzieli, że wielu z tych mężczyzn zginie na froncie od kuli lub bańnetu i nie wróci do rodziny. Potem zapanowała powszechna, długa żałoba, ale już w pierwszym miesiącu nadchodzą ponure zawiadomienia: że X czy Y zginął na polu chwały za cesarza i ojczyznę. Co wówczas znaczyło: za Monarchię Austro-Węgierską. Nie wrócił też lubiany nauczyciel Dudek.

Następują rekwizycje zboża i zwierząt na potrzeby wojska. Na wsiach, zwłaszcza w małych gospodarstwach, coraz więcej trudności z wyżywieniem. Od głodu ratują ziemniaki. W miastach jakość chleba razowego pogarsza się, o białym pieczywie zupełnie zapomniano. Pod koniec wojny chleb dla miasta wypieka się z domieszką ciężkostrawnych dodatków – kasztanowej mąki. Dotkliwie dawał się odczuć zupełny brak dostaw soli kuchennej, gdy armia rosyjska odcięła Wieliczkę i Bochnię od reszty Galicji, czyli do połowy 1915 roku.

Jesienią 1914 roku, po przełamaniu frontu austriackiego, wojska rosyjskie usiłowały przebić się na Węgry przez Przełęcz Dukielską, co im się jednak nie udało. Walki trwały całą zimę, aż do maja 1915 roku. Pierwsze uderzenie było tak gwałtowne, że przez opisaną wyżej okolicę wojska austriackie wycofywały się w galopującym tempie. Kawaleria uchodząc, posuwała się już nie kolumnami, ale pędziła grupkami przez pola i wpław przez rzeki. Jeden koń kawaleryjski utknął w bagnistym Wisłoczysku. Znalezione go martwego dopiero po paru dniach. Ułan widocznie ocalał. Walki na Przełęczy Dukielskiej były bardzo zaciekle, ginęło tam tysiące ludzi po jednej i drugiej stronie. Dzień i noc słyszało się dudnienie wybuchów armatnich pocisków. Maszerujące na front rosyjskie oddziały zawsze śpiewały piosenkę, którą chłopczy naśladowali w spolszczonym brzmieniu:

*Car Mikołaj chciał wojować,
ostro iść na bój.*

*Hej, żołdacy na Karpaty!
Wroga nie żałuj.
Hej, jego mac! Jak go spotkasz
To krzycz głośno: Paszoł won!*

I ci, na razie, zwycięzcy zaczynają po swojemu rekwirować zboże i bydło na rzeź w sposób dziki, rabunkowy. Kto nie zdążył dobrze przechować resztek zboża, mógł już liczyć tylko na kapustę i brukiew, bo i ziemniaków zaczęło brakować. Na przedwiośniu ostatnim ratunkiem przed głodem były buraki pastewne. Z czasem miejscowi gospodarze organizowali czujki na granicach wioski ostrzegające przed zbliżającymi się żołdatami. Pozostałe jeszcze krowy wyprowadzano do niewidocznych parowów nad rzeką lub do wąwozów górskich. Rodzinie Józka udaje się uratować dwa worki zboża zakopane głęboko w słomie w stodole, jak również mleczną krowę odprowadzaną codziennie rano do parowu. Była zima, żeby więc nie zmarzła, okrywano ją kocami. Aby nie było widać śladów kopyt na świeżym śniegu, zadeptywano je.

Ruscy zdradzali również apetyt na młode kobiety, ale groźna postawa dużej grupy czuwających stale mężczyzn ostudzała ich zapały, mimo że grozili karabinami. W razie zbliżania się większej liczby żołdatów, czujka ostrzegała dziewczęta i baby, które dla pewności uchodziły do Debrzy lub szukały innego schronienia.

Pomimo wrogiego stosunku do napastujących niektórzy próbowali handlować z ruskimi, zwłaszcza dla zdobycia upragnionej soli. W zamian za masło, jajka lub inne produkty chodzący na rekwizycje żołnierze przynosili niekiedy małe grudki soli kuchennej, którą prawdopodobnie wykradali z ich kuchni polowej. Po paru tygodniach trudno było przełknąć potrawy bez soli, zaczęły się nawet pojawiać różne choroby z tego powodu.

Przez cały okres walk w Karpatach ruscy codziennie pędzili długie kolumny jeńców austriackich w kierunku Rzeszowa. Na początku prowadzono po jednej lub dwie kompanie dziennie, ale zimą coraz więcej. Jeńcy byli zgłodniałi, ludność im sprzyjała, bo wiadomo, że jeńcami byli żołnierze oddziałów węgierskich i czeskich, którzy nie chcieli ginąć „na polu chwały za cesarza”. Podawano maszerującym żywność, choć w skromnych ilościach, bo i do wsi zaczęły zaglądać głód.

Krążyła wówczas wesoła pogłoska, że jakaś biedna Żydówka upiekła kosz bułek z razowej mąki, licząc, że żołnierze w marszu, mając mało czasu na wyszukiwanie w kieszeniach centów lub halerzy, będą jej podrzucać większe kwoty. Wysła z koszem na drogę. Pierwsi z brzegu coś jej tam wpłacili, ale następni nie mogąc nadażyć za maszerującą kolumną, chwyтали bułki i żwawo szli dalej, nie płacąc. Widząc, co się dzieje, Żydówka mruknęła pod nosem:

– Jak rabunkes, to rabunkes! To i ja hoptys zwei bułkes! – Po czym porwała dwie ostatnie bułki z kosza i zjadła sama.

Do marca broniła się austriacka załoga w oblężonej fortecy w Przemyślu. Skapitulowała po wyczerpaniu się żywności i wody.

Nadszedł maj 1915 roku. Niemcy rozpoczęli ofensywę od Karpat. Po przełamaniu frontu armia rosyjska wycofała się nad Wisłok i na północ od Krosna, po czym zaczęła się okopywać przed opłotkami wiosek, frontem ku rzece. Podobnie działo się w Wojkówce. Piętnaście metrów od domu Józka, w ogrodzie, od rana trzynastego maja żołnierze z pośpiechem przystąpili do kopania głębokich okopów. Z wykopanej ziemi budowano wysoki wał na linii płotu z grubym nakryciem od góry. W płocie i wale robiono otwory strzelnicze. W tak skonstruowanym okopie miał być żołnierz zabezpieczony przed pociskami, ale okazało się, że był bezpieczny tylko od kul karabinowych, a nie od granatów.

Rodzina Józka słysząc zbliżającą się kanonadę, wykopała w ogrodzie głęboki schron nakryty grubymi belkami, pękatymi wiązkami żytniej słomy i grubą warstwą ziemi. Wydawało się, że w razie bitwy będzie stanowił bezpieczne schronienie. Tymczasem schron upodobał sobie dowódca odcinka obrony, zadowolony z wygodnego prezentu. Rodzinę ogarnęła rozpacz, nie ma się gdzie ukryć w czasie ataku. Liczyła jeszcze na głęboką murowaną piwnicę pod krytą strzechą stodołą pełną słomy. Może w niej jednak wybuchnąć pożar, więc trzeba jednak zrezygnować z tego ukrycia. Nie było innej rady, tylko zdać się na łaskę losu.

Żołnierze opanowali cały dom, gospodarząc się w nim jak szare gęsi. Mama wyklóca się z komendantem, by jego żołnierze nie rabowali resztek żywności. Jakiś skutek to odnosiło. Uratowaną uprzednio od rekwizycji krowę trzyma się tymczasem w jednej połowie stodoły, między wiązkami słomy.

Pod wieczór i następnego dnia Niemcy rozpoczynają i prowadzą ostrzał artyleryjski, pękają nad okopami szrapnele. Pękają rozpalone do białego odłamki skorupy, z przerażającym gwizdem i wyciem rozlatując się na wszystkie strony, a do tego kulki ołowiane sypią się jak grad. Gdyby pociski pękały nad dachami domów krytych słomą, niechybnie wywołałyby pożary. Nigdzie jednak ogień nie powstał. Wybuchy były zaskakujące, nieprzewidywalne. Należało zatem zachować wielką czujność i kryć się, gdzie popadło. Cała rodzinna czwórka czuła się jak oczadziąta, bezradna, czekając na dalsze wypadki.

Po drugiej stronie wioski nikt nie kopie schronów, więc i tam nie można znaleźć schronienia. Widząc potęgę wybuchów, cywile tracą nadzieję na ocalenie w swoich drewnianych chatkach.

Nastaje noc piętnastego dnia maja. Około godziny trzeciej w nocy rozpętuje się ogłuszająca kanonada, ryk, cienki śpiew i świst nadlatujących pocisków armatnich, ze wszystkich stron migocą błyski wybuchów. W górze grają białe od żaru skorupy szrapneli. Struchlała gromadka: mama, dwie siostry i Józek przytula się do grubych bali ściany stodoły. Kanonada robiąca wrażenie końca świata trwa chyba z godzinę.

Ustaje, gdy zaczęło dnieć. W uszach szum, cisza wydaje się jeszcze bardziej groźna niż huk pękających granatów. Widać pożary w domach, które znajdowały się tuż przy okopach. I nagle wśród ciszy zrywa się gwałtowny tupot nóg i ukazują się gromady uciekających, niebroniących się wcale żołdatów. Za nimi pędzą w szalonym pościgu, z nastawionymi bagnietami żołnierze w pikielhaubach z rykiem: – Hura, hura, hura...

Rozjaśnia się. Widać i słyhać zgrzyt wbijanych bagnietów w ciała uciekających. Trupy padają gęsto. Ani jeden ruski żołnierz nie próbuje się obronić. Jeden z nich uklęknął i błagał Niemca o litość, ale ten potraktował go bagnietem.

Uplęnięło zaledwie piętnaście minut, a odgłosy walki i strzelaniny zaczęły stopniowo przycichać, słyhać było tylko, że na zboczach toczy się walka. Jakiś rozdygotany nocnymi przejściami chłopak przechodzi obok okopów.

Trudno pojąć, jakim cudem wszyscy z rodziny wyszli cało z tego piekła, a i budynki zostały tylko lekko uszkodzone. Krowa wcale tym zamieszaniem się nie przejmowała, stała w stodole spokojna, zdrowa, przeżuując siano. Zdawaliśmy sobie sprawę, że w razie pożaru krowa spali się doszczętnie, ale wśród gradu pocisków nie było sensu jej wyprowadzać, narażając się na pewną śmierć.

We wsi spłonęły trzy najbardziej zbliżone do okopów budynki, zranionych zostało siedem osób cywilnych. Wyjaśnia się też zagadka, dlaczego wieś poniosła małe straty mimo nawały pocisków. To zasługa niemal doskonałej precyzji artylerzystów i troska ich dowódców, by nie dopuścić do burzenia osiedli i masakry ludności. W sąsiednich wioskach też były minimalne straty. Za to w okopach wały się szczątki ludzkie pomieszane z gliną, ranni z wybebeszonymi wnętrznościami, bez rąk lub bez nóg, wijąc się z bólu, błagali zbliżających się o śmierć.

Sanitariusze nadjeżdżali z wozami dopiero w godzinę po ataku. Zbierali rannych i kawałki ciał. Te dantejskie sceny nie dają się wymazać z pamięci, ożywają zawsze, gdy mowa o wojnie. Taki los, jaki dotknął żołdatów, spotkać może również osoby cywilne. Człowiek na froncie jest tylko mięsem armatnim; zwierzę podczas polowania traktuje się stokroć bardziej humanitarnie.

Uplęnął szereg dni, zanim ludność zdołała ochłonać z przerażenia. Ale potworne obrazy męki ludzkiej wciąż stawały przed oczyma. Niedługo potem rozpoczęły ożywioną działalność sądy wojenne i zaczęły się masowe egzekucje. Wystarczyły nie zawsze sprawdzone donosy o rzekomej współpracy z okupantem, krótki proces i wyrok zawsze ten sam: kara śmierci. Nawet zupełnie niewinni ludzie obawiali się zemsty innych za drobne niekiedy urazy.

W handlu ukazała się nareszcie sól w szarych grudkach z Wieliczki. Dorwawszy się do niej, chwytało kawałki i ssano jak cukierki. Przerwana nauka w trzecim roku wojny została wznowiona. Przerwa spowodowała trudności dla chcących uczyć się w szkole średniej. Odczuł to i Józek. Zanim rozpoczęto znów naukę, poza pracami

w gospodarstwie było tyle ciekawych rozrywek dla dwunastoletnich chłopców, że i Józkowi nie zaświtała nawet myśl o kontynuowaniu nauki.

W okolicach przyfrontowych pozostały skrzynie pełne naboji i karabiny, a pociski artyleryjskie – także w górskich zagajach, gdzie stacjonowały baterie dział. Zarządzenie o zgłaszaniu znalezionych naboji czy broni nie było respektowane. Chłopcom niedorostkom tylko w to graj. Starsi byli ostrożniejsi, ale też strzelali z karabinów do przelatujących kaczek, gęsi i żurawi, nie szczędząc i zajęcy. Strzelano też na wiat w Święto Wielkanocy lub po rezurekcji przy kościele i w drodze do domu. Nie obeszło się bez tragicznego wypadku. Lubiany, dwudziestokilkuletni Franciszek Z. zastrzelił młodą małżonkę swego krewniaka, gdy wracała z nabożeństwa znaną sobie dróżką w stronę kapliczki. Idąc po nabożeństwie w grupie mężczyzn, daleko za kobietami, Franuś usiłował wystrzelić sobie jeszcze raz w górę. Dwa razy pociągnął za spust. Niewypał. Opuścił karabin i trzymając go w poziomej pozycji, dotknął spustu jeszcze raz. Karabin galantowo wypalił. I w tym momencie z oddalonej grupy kobiet rozległy się krzyki rozpacz. Wszyscy pobiegli tam. Kobieta trafiona w głowę już nie żyła. Młody małżonek bezgranicznie zakochany o mało nie popadł w obłęd po stracie żony. Sprawca śmierci usiłował targnąć się na własne życie, więc przez parę dni i nocy czuwano nad nim. Sąd skazał go na rok więzienia z zawieszeniem wykonania kary, jako że było to zabójstwo niezamierzone.

Mimo to niedorostki nadal miały wielką uciechę z wywoływaniem wybuchów pocisków artyleryjskich w rozpalonych ogniskach. Zwykle brał w tym współudział jeden ze starszych chłopców. Obywało się na szczęście bez wypadków. Masową, uprawianą przez mikrusów zabawą było wyrzucanie w powietrze pocisków karabinowych wtłoczonych do połowy w gilzę, napełnioną prochem strzelniczym. Do otworu gilzy wsypywało się resztę prochu i po podpaleniu wyrzucało w górę. Gdy płomień dotarł do prochu pod wtłoczonym pociskiem następował głośny wystrzał. Wieczorami liczne błyski wystrzeliwanych seryjnie naboji robiły wrażenie latających robaczek świętojańskich. Tak to sobie małe raby urozmaicały czas z braku innych rozrywek, jak i z braku nadzoru.

Nastaje rok 1918. Józek kończy trzynasty rok życia. Najwyższy czas przygotować chłopca do egzaminu wstępnego do gimnazjum, by mógł od września rozpocząć naukę. Myśl taką podsuwa siostra Maria, ta sama, która „unieszczęśliwiła” chłopca ozdobnymi ubrankami. Bardzo ostrożnie próbowała pertraktować z rozbrykanym chłopakiem na temat egzaminu. Wiadomo, on jeszcze o tym nie myślał, zwłaszcza że po przerwach wojennych ukończył tylko pięć klas, a szósta dopiero w toku i nie zapowiadała się wcale celująco. Józek sam przewidywał klapę na egzaminie. Jest już luty. Na przygotowanie pozostałyby niecałe cztery miesiące. Na egzaminie wymagano znajomości przedmiotów z zakresu siedmiu klas. Jednak dalsze unikanie rozmów z siostrą nie zdało się na nic. Wciąż naciska, kusi landrynkami, gdzieś wy-

kombinowanymi przysmakami, w czasie wojny egzystującymi tylko w marzeniach, by przełamać pierwsze lody. Przekonuje, tłumaczy, jak chude życie przypadnie mu w udziale z ciężką pracą na paru tych morgach ziemi. Przytoczyła Wincentego Pola:

*O, nie zawsze i nie wszędzie
Młody orle tak ci będzie
Jako dzisiaj przy macierzy.*

Uświadamiała dalej, że z czasem zwiększą się obowiązki, spadnie na głowę troska o rodzinę, ale to wszystko może się zmienić na lepsze po ukończeniu choćby gimnazjum. A po maturze można otrzymać zatrudnienie w jakimś przedsiębiorstwie lub w urzędzie ze stałą pensją. I co ważniejsze, nauka poza ciasnymi, wiejskimi umiejętnościami pozwoli zdobyć szerszą wiedzę o świecie, o różnych krajach, zwierzętach, o życiu ludzi zamorskich, jak również nauczyć się obcej mowy i o wielu rzeczach, o których teraz nie ma się nawet pojęcia.

Siostra tłumaczyła, jak umiała, bo jej też nie było dane zdobycie bogatej wiedzy. W końcu rybka zaczyna jednak brać przynętę, choć dla zachowania twarzy próbuje się jeszcze bronić: przecież za mało umie i egzaminu nie zda. Na to tylko czekała śpiewająca sobie przy szyciu ukraińskie dumki siostra Maria. A więc chłopak spuszcza z tonu. Zamyka więc dyskusję na wesoło i ze śmiechem. Zapewnia, że z tym sobie poradzimy. Umówiła się już wcześniej ze znajomym nauczycielem, panem Skibą z sąsiedniej wioski. Podjął się przerobić pospiesznie z chłopcem materiał do egzaminu, ale pod warunkiem, że delikwent w tym czasie nie będzie się zajmował niczym innym. Nauczyciel nadał galopujące tempo i był zdumiony, że uczeń szybko opanowuje materiał. W czerwcu udało się złożyć egzamin, nawet z wynikiem dobrym, w realnym gimnazjum w Krośnie. W tej szkole głównymi przedmiotami były: matematyka, fizyka, przyroda i języki obce nowożytnie.

Maryśka za te swoje z trudem zarobione pieniądze przy szyciu podjęła teraz starania o zakup przepisowego, granatowego ubrania, już z jednym srebrnym paskiem na stojącym kołnierzu marynarki. Nie zapomina też o książkach. Chłopak wzruszony jej zabiegami pomyślał sobie: nie ma żartów, muszę się dobrze uczyć, żeby nie stracić ani jednego roku. I nie wiadomo czy pech, czy też kulawy los wszedł chłopcu w paradę. Wypadnie mu bowiem zmienić gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, którego przedmioty bardzo mu odpowiadały, na humanistyczne z łaciną, uwzględniające matematykę tylko w małym stopniu.

A było to tak...

Rozdział 5

Nowy Sącz

W sierpniu mama spotyka swą przyrodnią siostrę Katarzynę K., która zapewniała, że syn nie znajdzie nigdzie tak wspaniałych warunków do nauki jak u niej. Skusiła mamę, by przeniosła syna do gimnazjum humanistycznego w Nowym Sączu. Przeraził się chłopak tą wiadomością, bo strasznie będzie odjechać pierwszy raz w życiu daleko od domu rodzinnego i znaleźć się samemu wśród obcych. Nikogo tam nie zna, nie umiał sobie nawet tego wyobrazić. W ostatnich dniach przed wyjazdem ze zdenerwowania nie mógł jeść ani spać. Domownicy zaczęli zastanawiać się, czy nie zrezygnować z propozycji w obawie, że chłopak może się rozchorować. Po namyśle jednak, skoro ta ciocia chce mu zapewnić rajskie życie, to dla jego dobra trzeba mu wytłumaczyć, by się uspokoił.

Jechał więc z siostrą koleją, z rozdartym sercem, jak na pogrzeb kogoś bardzo bliskiego. Podróż nie była zachwycająca: dwie godziny jazdy i sześć godzin czekania w Strózkach na przesiadkę. Trzeba było dźwigać ze sobą pokaźne tobołki, bo na przesyłkę bagażową nie starczyło pieniędzy.

Nareszcie domek cioci, uśmiechniętej, rozradowanej. Bardzo interesowała się, co się mieści w bagażu. Umówiły się z mamą, że w zamian za mieszkanie i troskliwą opiekę rodzina będzie przysyłać lub dowozić dwa razy w miesiącu produkty spożywcze, jak: mąka, kasza, chleb, masło, słonina, jajka, a nawet kartofle. W bagażu było tego sporo, starczyłoby na dobre wyżywienie dla czterech takich jak trzynastoletni chłopak. Za to jego rodzina musiała zaciskać pasa.

Mieszkanko ciotki w parterowym domu krytym papą, odległym od miasta o około dwa kilometry, składało się z kuchni i dużego pokoju z piecami kaflowymi. W drugim końcu budynku, za poprzeczną sienią, mieściło się identyczne mieszkanie czynszowe. Były też przybudówki dla kóz i królików.

Pierwsze dni wydawały się Józkowi rzeczywiście rajskie. Dwudziestodwuletni synek ciotki, maturzysta, wprawdzie z wielkim dystansem, ale raczył łaskawie rozmawiać z przybyłym „syczorykiem”, bo tak tam popularnie nazywano podrostków. Dziewczęta natomiast zaszczycono przydomkiem „dziopa” (stara koszula). Była też

u ciotki dziewiętnastoletnia dziopieczka, Helenka, przemiła, zawsze uśmiechnięta i wesoła – siostra Adama, owego maturzysty. Jak słoneczko rozpromieniała każdy dzień. Józek zawarł z nią niezłomną przyjaźń, która miała przetrwać wieki. Pracowała w eleganckiej cukierni, którą nawiedzali tylko wybrańcy losu: wysocy urzędnicy, profesorowie, bogaci kupcy i przemysłowcy. Sama elita. Wtedy chłopak nie miał jeszcze zielonego pojęcia o takim wyrażeniu, ale elegancja owych panów onieśmiała go. Niewiast, poza personelem, nie uświadczyło się w cukierni ani na lekarstwo.

A jak on wszedł z tymi panami w bezpośredni kontakt jako uczeń w granatowym mundurku z jednym srebrnym paskiem na stojącym kołnierzu? Insignia wskazywały przecież, że jest dopiero uczniem w I klasie gimnazjum. Otóż wynikło to z gorącej przyjaźni z Helenką, cioteczną siostrą. Z pracy wracała po godzinie osiemnastej, gdy już zapadał zmrok. Stała więc między nimi umowa: Józek (już nie szczyryk) zobowiązał się przychodzić po nią do cukierni jako straż przyboczna. Ona za to przed wyjściem z cukierni sadzała go przy stoliku wśród owych strach budzących gości.

Na stoliku zjawiała się piramidka, jeżeli nie lodów, to wspaniałych ciast, których ani we śnie, ani na jawie nigdy przedtem nie próbował. Mówiono na nie „ciasta po wiedeńsku”. Wyczarowywali je nieprzeciętni artyści w tej sztuce. Józek, już jako Józef, bywał później i w większych miastach (Poznaniu, Krakowie, Warszawie), ale takich rozkoszy w ustach nigdy już nie zaznał, a zresztą kto to wie? Może ten niebiański czar wraz z ciastkami spływał prosto z gorącego serduszka kochanej siostrzyczki (broń Boże już nie dziopy).

Podczas takiej uczty do bujającego w obłokach uczniaka przysiada się wysoki, elegancki pan z sarmackim wąsem i przedstawia się, że jest profesorem gimnazjum. Chytrze, że to niby rad by się bliżej poznać, przymilnie pyta, gdzie podział się tato, bo wiadomo, że uczniom nie wolno samym bywać w cukierniach i to jeszcze o tak spóźnionej porze. Józek zdrętwiał, włosy stają mu dęba, twarz mu płonie, czuje dreszcze na plecach. Pojawia się błyskawiczna myśl: „Ratuj się, uciekaj!”, ale figlarne, niegroźne spojrzenia profesora dodają mu odwagi. Chłopak grzecznie wstaje, wyjawia nazwisko i trochę już uspokojony tłumaczy:

– Tato nie mógł ze mną przyjść, bo znajduje się bardzo daleko, w Ameryce. Mama także daleko na małym gospodarstwie i do cukierni nie śmiałyby przyjść. A ja przychodzę tutaj, by wieczorem odprowadzić siostrzyczkę Helenkę. Idzie się przez park, będę jej bronił, gdyby jakiś szczyryk próbował ją zaczepiać.

Oczy groźnego zdawało się profesora stają się coraz jaśniejsze i błyszczące, jeszcze chwila, a ich właściciel wybuchnie śmiechem. Ale pyta, czy Józek dałby sobie radę, gdyby Helenkę zaczepiło ze trzech mocnych łobuziaków. Chłopak uspokoił rozmówcę, zapewniając, że ma tęgi kij pozostawiony w parku, a jakby to nie pomogło, gryzłby, kopał, uderzał głową w słabiznę i krzyczał ze wszystkich sił. Mówił to głośno i z zapalem. I wtedy rozległ się śmiech również przy innych stolikach.

Słyszac owacje, zjawila się Helenka ubrana do wyjścia i również zaniosta się od śmiechu, dowiedziawszy się, co jest przyczyną wesołości. Później zdradziła chłopcu, że to prof. Wilczyński (bo to on rozpytywał Józka) śmiał się najgłośniej ubawiony bojową gotowością jej zaprzysiężonego obrońcy. Podobała mu się też swoboda, z jaką pierwszoklasista rozprawiał z nieznanym mu jeszcze gościem.

Już w pierwszych dniach mocno absorbują Józka sprawy nauki. Wie, że pierwsze gimnazjum, gdzie go przyjęto na podstawie świadectwa egzaminacyjnego z Krosna, ma opinię ostrego i stawia wysokie wymagania, i że co roku w każdej klasie sporo uczniów repetuje. Natomiast w drugim miejscowym gimnazjum, humanistycznym, daleko łatwiej przechodzi się z klasy do klasy. Z tego powodu w pierwszym gimnazjum są stany niepełne, a w drugim powtarzają się przepełnienia. Tę opinię Józek odczuł na własnej skórze po pierwszych lekcjach. I zrozumiał, że tu trzeba się mocno przykładac do nauki.

Ciocia jednak była innego zdania. Do uwielbianego synka, maturzysty z drugiego gimnazjum, odnosila się jak do księcia. Ani w czasie nauki, ani po skończeniu szkoły nie pozwalala mu w domu imac się pracy fizycznej. Dla Józka miała jednak inną miarkę. Łudziła jego matkę cudami, bo chodziło jej o bezcenne produkty wiejskie, o które w czasie trwania wojny było coraz trudniej. W dodatku ten trzynastoletni chłopak mógł się jej przydac jako bezpłatny robotnik. Ledwie wracał ze szkoły i coś przelknął, już padał rozkaz: – Bierz kozę i popaś ją na skarpie kolejowej.

I tak codziennie do zachodu słońca, jeśli nie koza, to: – Józku, drewnitnia się rozpada, masz tu siekierę, piłkę, młotek; deski leżą pod ścianą. Napraw jak należy. – Później otrzymywał nowe polecenia, na przykład: – Stajnia dla kóz zepsuta. Napraw. Podłoga dziurawa, wymień deskę. Dach przecieka, weź smołę, podgrzej, posmaruj załatane miejsca dachu, ale uważaj, bo smoła gorąca.

Uczeń jeszcze za słaby na ciężkie rolki papy po czterdzieści kilo i na kubły ze smołą. Wnoszenie smoły po drabinie i stromym dachu wymagało maksymalnego wysiłku, można było poparzyć się lub połamac kości. Ciocia dawala jednak dokładne instrukcje i pilnowala wykonania.

Przychodził też czas na kopanie ziemniaków czy zbiór warzyw. Przed zimą z kolei trzeba skopać ogród o powierzchni około sześciuset metrów kwadratowych. Ciocia więc poucza:

– Jeśli, Józku, przekopiesz codziennie po czterdzieści metrów kwadratowych, to po dwóch tygodniach już będzie koniec. W odległości pół kilometra od domu czeka też pole na dowiezenie i rozrzucenie obornika. Będzie tego tylko z dziesięć taczek, więc po czterech dniach będziesz miał spokój i pozostanie tylko pasienie kozy.

Etatowy, trzynastoletni robotnik pcha te taczki przez ruchliwą szosę, drózki polne i ścieżki. Ustaje z wysiłku, taczka cięższa od niego, zatacza się na prawo i lewo.

Kości bolą, zasnąć trudno, nauka wieczorem przy lampie naftowej nie wchodzi do głowy. Z paru przedmiotami słabo. Józek nie wtajemnicza w te zawilości Helenki. Nadal wychodzi po nią wieczorem do cukierni. I chyba też ze względu na Helenkę nie uskarża się swej starszej siostrze, gdy przywozi prowiant.

W listopadzie wybuchła straszna grypa, zwana hiszpanką. Lekarze nie od razu byli zorientowani jak leczyć tę nową odmianę grypy. Ludzie umierali masowo, codziennie chowano w mieście kilkudziesięciu nieboszczyków. Znalezione wreszcie bardzo skuteczne lekarstwo – syrop tymiankowy, który lekarze ordynowali każdemu choremu. Nie było jednak ratunku, gdy ktoś po krótkiej, niedokończonej kuracji wstał i szedł do codziennych zajęć.

Szkoły zostały zamknięte na kilka tygodni. Powszechna radość z zakończenia okrutnej, czteroletniej wojny i odzyskania niepodległości została boleśnie zgaszona pomorem.

Józek wrócił do rodziny. A niebawem jego siostra otrzymała telegraficzne wezwania do przyjazdu do Nowego Sącza, bo wszyscy u ciotki chorują. Później siostra opowiadała, że przeżyła tam straszne dni i była tak wyczerpana, że ledwie uszła z życiem, wracając do domu. Ciocia, Helenka i Adam majaczyli w ponad czterdziestostopniowej gorączce, tracili i odzyskiwali przytomność, w dzień i noc żądali różnych usług. Podawała im lekarstwa, biegała po zakupy, gotowała posiłki i karmiła według zalecanej diety, nie mając czasu na wypoczynek i sen. Po trzech dniach umiera Helenka. Przez dwie doby leży na katafalku w kuchni, a koło trumny pali się rząd świec. Pozostałych dwoje majaczy, krzyczy, a do tego straszny zaduch i ta przejmująca groza, zwłaszcza nocą w obecności zmarłej.

Po pogrzebie, a wszystkie formalności spadły na głowę Maryśki, i po wyleczeniu ciotki i jej syna, siostra Józka była tak wyczerpana, że ledwo trzymała się na nogach. W podzięcie na odchodnym usłyszała od cioci zarzuty, że okazywała im zbyt mało troski w chorobie. Epidemia się przewaliła, szkoły otwarto, a Józek wrócił do ciotki.

W mieście krążą nowe, zatrważające wieści. Czeskie wojska wkroczyły w granice Polski, maszerują na Kraków i na Nowy Sącz. Wycofuje się tabor kolejowy z południowo-zachodnich obszarów. Pociągi i parowozy w kolumnach na kilka kilometrów śpiesznie odjeżdżają na wschód. Po paru dniach ulga i odprężenie. Rząd Polski skapitulował i zawarł umowę z prezydentem Masarykiem o odstąpieniu Czechom ziem Śląska Olzańskiego zamieszkałych w większości przez Polaków. Czesi wykorzystali ciężką sytuację kraju, gdy wokoło toczyły się walki z Niemcami i Ukraińcami. Złamali umowę zawartą z Dmowskim i Paderewskim, według której ta część Śląska miała należeć do Polski.

Wtedy przyszła kryska i na Józka. Zachorował na groźną hiszpankę. Przez kilka dni często tracił przytomność przy czterdziestu stopniach gorączki. Pijał aż do obrzydzenia syrop tymiankowy. I tym razem wyłgał się od pożegnania naszej pięknej

planety. W łóżku musiał jednak przeleżeć długie dwa tygodnie. W tym czasie ciocia nie kazała mu jednak naprawiać dachu. Do szkoły wrócił tak osłabiony, że jeszcze przez miesiąc musiał używać laski. Nie mógł pogodzić się ze śmiercią wesołej i szlachetnej Helenki. Przez czas pobytu w jej domu nie pojawił się u niego najmniejszy promyk uśmiechu, bo każdy kąt odzywał się bolesnym wspomnieniem.

Zimą, aż do marca, miał Józek czas na odprężenie się po trudach i nieszczęściach jesiennych. Nie przeszkadzano mu w nauce. W kuchni, swoim apartamencie, siedząc przy lampie naftowej nadrabiał zaległości; nie miał już kłopotów w szkole. Nabierał smaku w odrabianiu lekcji dzięki temu, że profesorowie wykładali i objaśniali swoje przedmioty zrozumiale, wyczerpująco.

Najbardziej niepokoił uczniów nauczyciel przyrody, ów znany z cukierni prof. Wilczyński. Egzaminował uczniów tylko dwa razy w roku: pierwszy raz w styczniu i drugi w czerwcu, z zoologii. Każdy musiał znać przedmiot od A do Z i na egzaminie śpiewać bez zacinania. Regułą u niego były dwójce co najmniej u połowy uczniów. Często powtarzał, że w swojej praktyce nikomu nie postawił czwórki ani piątki. Uzyskanie trójki oznaczało uznanie ucznia za dobrego.

Józek z wdzięcznością wyrażał się o nim za to, że zmuszał do dobrego opanowania przedmiotu, jak i za to, że wiosną wymagał od każdego opracowania zielnika złożonego z kilkuset dziko rosnących roślin. To zadanie wymagało ogromnego wkładu pracy i wytrwałości. Trzeba było chodzić po polach, lasach, nadrzecznych błoniach, mokradłach. Zbierało się nieznanne rośliny, a potem z pomocą klucza – przewodnika do oznaczania roślin J. Rostafińskiego – należało określić klasę, rodzinę i nazwę; odnotować miejsce i czas znaleziska; oznaczyć skrótem rodzaj rośliny: L – lekarska, T – trująca, P – przemysłowa, a znakiem „!” , gdy roślina była rzadka lub „!!” , gdy bardzo rzadka.

Świeżą roślinę rozkładało się na grubej bibule i przykrywało drugą bibulką, po czym układało na drewnianej prasie i przyciskało ciężarem lub dokręcało śrubą. Roślina po wysuszeniu jest płaska i sztywna, umieszcza się ją i przytwierdza klejącymi tasiemkami na karcie z bloku rysunkowego. W wolnych miejscach wypisuje się nazwę rośliny po polsku i po łacinie oraz wszystkie inne wymagane szczegóły. Wszystkie karty z wysuszonymi okazami umieszcza się w ozdobnej twardej oprawie. Niebywałą przyjemnością sprawia przeglądanie udekorowanych kart. Z każdej wyziera kwiat w naturalnej krasie, niezmiennym kolorze. Zawiera przyjemny, właściwy dla każdego kwiatu zapach. Józek spreparował w ten sposób około czterystu roślin. Ile to wymagało pracy oceni tylko ten, kto pokusi się opracować takie чудо. Gdy przeszedł do innego gimnazjum, zielnik ten był dla kolegów rewelacją. Niektórzy oferowali za niego duże sumy, ale było żal pozbyć się dowodu żmudnej pracy.

Zimą i wiosną Józek dobrze przykładał się do nauki. Stosunki z ciocią często jednak układały się na bakier. Nie mógł odmówić pomocy w obrabianiu grzą-

dek, sadzeniu ziemniaków, pieleniu, okopywaniu. Kożę w myślach powierzał ciotci i Panu Bogu. Nic nie mówiąc, wymyślał się poza miejski plener, gdzie znajdował swoje pachnące i kwitnące skarby. Za dnia preparował rośliny, cichutko siedząc na strychu, by nie zdradzić swej obecności, a wieczorem odrabiał lekcje.

Figle koziołków

Były również niezbyt wesołe urozmaicenia. Wiosną przyszły na świat dwie bielutkie kózki, bardzo figlarne. W obawie by w stajence nie zmarzły, ciocia bardzo litościwie przynosiła je do kuchni – gabinetu naukowego ucznia gimnazjum. W kącie ułożyła puszystą ściółkę. Biedactwa nie mogły zasnąć, bo wieczorem świeciła lampa, a one lubiły ludzkie towarzystwo. Kusila je leżanka, stołek i stolik jako wielce przydatne do koziej gimnastyki. Postukały kopytkami po książkach i zeszytach świeżo atramentem zapisanych. Oberwało się raz po raz kałamarzowi: pozostawały po nim ślady atramentu, również na bieliźnie i ubraniu. Po kilku niewinnych kozich wyczynach uczeń zabezpieczał się przed nimi pudłami, deskami i czym się tylko dało.

Po uspianiu koziołków trzeba było prędko nasycić odzież cytryną i kilka razy przemywać. Mimo to błąd kwiatek pozostawał na splamionych miejscach. Długopisów wówczas jeszcze nie było. W szkole atrament znajdował się w kałamarzach wpuszczonych w otwory w ławkach szkolnych. Stalówki często się rozdziawiały, haczyły – trzeba było mieć zapas do wymiany. Od piór maczanych w atramencie widoczne były u każdego ucznia granatowe plamy na palcach – wskazującym i średnim.

W klasach niższych obowiązywał przedmiot kaligrafia, co tłumacząc z grecka: *kalos* – piękne i *grafo* – piszę, oznaczało sztukę pięknego pisania. Można to było osiągnąć tylko z pomocą stalówki, która mając rozcięty koniec, rozszerzała się przy naciskaniu, pozostawiała cieniutki ślad przy pociąganiu linii ku górze.

Nadszedł wreszcie upragniony koniec nowosądeckiej epepei. Świadczenie z dwiema trójkami wychowawca uznał za dobre, bo w klasie lepszych nie było. Z przyrody nikt przecież czwórki nie otrzymał. Nawet wychuchanemu synkowi ciotki – Adamowi zaimponowało to, bo znane mu były rygory w pierwszym gimnazjum, a widział, w jakich warunkach musiał się uczyć uparty chłopak.

Ciocia bardzo, a bardzo żałowała i wielce była zdziwiona, że ten tak wielce kochany Józio nie chce u niej pozostać na następny rok. Kto jej biednej będzie uprawiał ogród, smarował dachy smołą, woził taczka obornik? A najbardziej warto kochać chłopaka za prowianty dowożone regularnie, a tak jeszcze trudne do zdobycia w mieście po wojennych konfiskatach. Józek o mało się nie rozpląkał na widok potoku łez niepocieszonej ciotuni, ale się jakoś opanował i krzycząc w duchu „Hossanna!”, dziarsko odmaszerował z walizką.

Zrażony nie bardzo miłymi przejściami nie odpowiadał na listy, mimo zaproszeń do Nowego Sącza. Z dala jednak interesował się krewnymi nieodżałowanej ciotki. Adam ukończył studia na wydziale humanistycznym Uniwersytetu w Krakowie. Ciotka z nadmiernym wysiłkiem i sztuką jej tylko wiadomą, z malutkiej wdowiej renty i skromniutkiego czynszu za drugie mieszkanko zdołała zapewnić synkowi możliwość odbycia czteroletnich studiów dziennych. Uczył później w gimnazjach. Wypieszczony przez mamę, lękając się przyjęcia na siebie poważniejszych obowiązków, nie ożenił się. Zmarł w podeszłym wieku. Matka nie korzystała z jego pomocy materialnej. Być może podchodziłby realniej do życia, gdyby nie to zbyt czułościowe wychowanie.

Do dziejów Nowego Sącza należy dodać tragiczną informację z przewodnika mapowego „Beskid Wyspowy”, że w czasie II wojny światowej naród panów wymordował dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, co stanowiło połowę mieszkańców regionu.

Jasło. Gimnazjum humanistyczne

O swoim pobycie u ciotki w Nowym Sączu Józek opowiedział rodzinie dopiero po zakończeniu roku szkolnego i pojawieniu się w domu. Od razu zdecydowano, że o powrocie tam po wakacjach nie może być mowy i że wynajęcie stacji w którymś z bliższych miast wyjdzie taniej, bez dostarczania jak dotąd żywności dla czterech osób. Nie można było wrócić do Krosna, gdyż było to gimnazjum innego typu. Pozostało jeszcze Jasło.

Wakacje przy rodzinie w przyjaznej atmosferze złagodziły niemiłe wspomnienia. Józek okrzepł i odżył jak po kąpieli. Kosił po kawałku pole koniczyny, suszył i zwoził pod dach. Brał udział w żniwach. Nie było stojących nad nim beczynnici i poganiających go leniów. W końcu sierpnia wykonywał jeszcze podorywki. Praca na otwartym powietrzu, przy wtórze śpiewu wirujących w obłokach skowronków, sprawiała czternastoletniemu gospodarzowi prawdziwą rozkosz. Rozpierała go dumą, że teraz wykonuje już wszelkie prace na roli jak dorośli.

Ale nawet najpiękniejsze wakacje się kończą. Zbliżający się powrót do szkoły przypomina Józkowi przeszłe zmagania ze słabością, niekiedy z trudnościami w nauce. Znajduje się wkrótce w nowym otoczeniu. Chłopcy w klasie wydają się bliżsi, jacyś swojscy, mają podobny sposób bycia, jednakowe upodobania. Trudniej było zaprzyjaźnić się z kolegami w Nowym Sączu, bo tam poza miejskimi przeważali górale. Każda zmiana środowiska wymaga jednak czasu na przystosowanie. Dziewcząt w gimnazjum nie było. W Małopolsce, czyli dawnej Galicji, brakowało państwowych gimnazjów koedukacyjnych.

Na pierwszych lekcjach profesorowie przeprowadzali krótki wywiad z każdym nowym uczniem. Wypytywali, skąd pochodzi, o zawód ojca i warunki życiowe, gdzie się poprzednio uczył, jakie otrzymał stopnie oraz z którymi przedmiotami miał trudności. Gdy któryś się pochwalił, że w świadectwie ma same piątki i czwórki, brano go pod ściślejszą obserwację. Zwykle okazywało się, że byli to najślabi uczniowie, a piątki otrzymywali na pożegnalnym świadectwie dla ułatwienia w dostaniu się do tej szkoły, która miała wysokie notowania.

Józkowe stopnie nie nasuwały zastrzeżeń, nie miał też większych trudności w dalszej nauce. Udręczeniem dla niego było wkuwanie na pamięć długich, mało zrozumiałych wierszy XVIII-wiecznych autorów. Recytację sprawdzano i oceniano. Wiersze wtlaczane na siłę do głowy szybko ulegały zapomnieniu. Te trudne, długie utwory zabierały dużo czasu potrzebnego do dobrego opanowania innych przedmiotów: łaciny, matematyki, fizyki, chemii i przyrody.

Duże zaciekawienie umiał wzbudzać u uczniów profesor nauki o przyrodzie. Miał około pięćdziesięciu lat, przyjemną powierzchowność i wypielegnowaną, puszystą brodę. Zawsze taktowny i życzliwy wobec uczniów zyskiwał u nich niewymuszony szacunek i posłuch. Słuchali jego wykładów z uwagą i skupieniem. Opowiadając o zwierzętach i roślinach, nie tylko zapoznawał ich z ich wyglądem zewnętrznym, z budową, sposobem życia i rozmnażania, lecz w dodatku przedstawiał je tak, jakby każde kierowało się rozumem i zaradnością. Z instynktownym wyczuciem nabytym z doświadczenia długich szeregów przodków zachowywały się tak, by przetrwać i rozmnażać celem zachowania gatunku.

Profesor budził zainteresowanie pięknem przyrody, a także podziw dla naturalnego porządku i ładu, który pozwala zachować przez tysiąclecia równowagę świata ożywionego. W świetle tak wnikliwych wywodów nie miał potrzeby przekonywać zasłuchanych uczniów, że każda żywa istota jest przyjacielem człowieka, pomaga mu w jakiś sposób ułatwić życie. Znęcanie się nad zwierzętami piętnował jako objaw głupoty i okrucieństwa.

Na botanikę przyszła kolej w drugim półroczu. Józek przywiózł z domu i przedłożył profesorowi swój zielnik. Nauczyciel przeglądał go uważnie, sprawdzał oznaczenia nazw i inne szczegóły, błędów nie znajdując. Odwracając karty był zachwycony tym, że z każdej strony wyłaniał się coraz to inny kolorowy kwiat, wydzielając wciąż jeszcze delikatny, naturalny i oryginalny zapach. Oświadczył, że na tych kartach utrwalony został urok wiosny i lata.

Niedługo trwała jednak uciecha, gdyż jak to później zdradził jeden z kolegów w wielkiej tajemnicy, synek bogatego kupca ukradł zielnik. A potem nicpoń ten bardzo się oburzył, kiedy posądzony został o ten nieczyny czyn, i gdy właściciel zażądał zwrotu niezwykłego obiektu.

Popularnym nauczycielem okazał się też ks. dr Pasek, chociaż u młodszych budził lęk pomieszany z szacunkiem, ale wśród starszych od szóstej do ósmej klasy wzniewał niekończące się dyskusje na temat filozofii, logiki, historii Kościoła, a najbardziej Księgi Rodzaju (Genesis) z pięcioksięgu biblijnego. Nic dziwnego zresztą, że tak bardzo rozbudzał wyobraźnię u starszych studentów (tak nazywano uczniów gimnazjum), skoro posiadał trzy doktoraty: z prawa kanonicznego, z filozofii ścisłej i z psychologii.

Piętnastolatków nie bardzo interesowała dyskusja starszych uczniów, ponieważ niewiele z tego rozumieli. Młodszych uczniów ksiądz traktował z lekka. Gdy któryś

na zadawane pytania nie dawał odpowiednich odpowiedzi, duchowny stojąc nad nim, a był okazały i wysoki, unosił dłoń w górę i następnie uderzał czubkami palców tak energicznie w głowę delikwenta, że pobłogosławiony w ten sposób z impetem siadał, a ksiądz doktor nieodmiennie powtarzał w takich przypadkach:

– Siadaj, pało! Nic nie umiesz, wracaj do ojca gęsi i kozy paść, to będzie najlepsze dla ciebie zajęcie.

Odprawiał codziennie rano w kościele, nazwanym gimnazjalnym, cichą mszę przed godziną ósmą. Niekiedy zapamiętywał, kto nie pokazuje się na niej. Taki hejtyk miał małe szanse na przejście do następnej klasy.

Józek miał możliwość bliższego zapoznania się z nim w ciągu pięciu sekund. Podczas dużych przerw w pogodne dni uczniowie musieli wychodzić na podwórze. Na korytarzu każdego piętra pozostawał dyżurujący profesor. Na podwórzu w tym czasie wrzało i szumiało rojowisko uczniów od pierwszej do ósmej klasy. Któregoś dnia nagle zjawia się niby to zmachany szybkim biegiem kolega z klasy i przynagla Józka, żeby natychmiast biegł na drugie piętro do księdza Paska, bo czeka. Włosy zjeżyły się chłopakowi z przerażenia. Pomyślał, że musiało się stać coś strasznego, a z księdzem doktorem nie ma żartów. Zasapany staje przed nim i z bojaźnią wybąkuje, że się zgłasza na wezwanie. A ksiądz na to:

– Tego jeszcze brakowało? Nie poznałeś się dotąd z moją łagą?

Zanim delikwent zdążył się odwrócić i odskoczyć, dostał laską w pośladek, tak że przez parę minut pocierał obolałe miejsce. Koleżka uniknął zemsty tylko dlatego, że wykupił się czekoladą. Żart wszystkim się podobał, nawet pokrzywdzonemu.

W dni targowe panował wielki ruch na rynku. Środkiem stały w dwóch równoległych rzędach stragany pełne różnorodnego dobra, a dzieliła je dość szeroka uliczka. Przekupki, w większości Żydówki, każda z nich ubrana w kilka szerokich i zwisających do kostek spódnic, głośno zachwalały swoje towary. Aby nie przepłacić, trzeba było się targować. Konkurencja powodowała, że ceny nie sięgały zbyt wysoko, tak więc dla niezamożnych uczniów te właśnie stragany bywały atrakcyjne.

Nie można było narzekać na brak imprez rozrywkowych. Młodzież pasjonowała najbardziej cotygodniowe seanse w fotoplastykonie. W dużej sali mieścił się okrągły, obrotowy kiosk, poprzedzielany kilkunastoma kwaterami. W ścianie każdej kwatery, nad miejscem siedzącym, znajdował się duży okular do patrzenia. Przez soczewkę oglądało się wielkie, podświetlone, barwne obrazy, które zmieniały się co kilkadziesiąt sekund. Za każdym obrotem kiosku zmieniał się okular. Jeden pełny obrót ukazywał całą serię widoków na określony temat, na przykład: najpiękniejsze fragmenty Tatr z Morskim Okiem, wspinające się po zboczach kierdele owiec, zająca baców i juhasów, kraje zamorskie, dzikie, egzotyczne zwierzęta, życie Indian, Murzynów i wiele innych osobliwości. Ten fotoplastykon zastępował kino, którego w mieście jeszcze nie było.

Duże zaciekawienie budziły też urządzone od czasu do czasu wystawy figurowe związane z niezwykleymi zdarzeniami historycznymi, jak na przykład: zabójstwo austriackiego następcy tronu arcyksięcia Rudolfa i jego kochanki w roku 1889. Figury woskowe przedstawiały te postacie i inne – skrwawione. Widowisko ponure, wstrząsające, a mimo to ściągało wielu ciekawskich. Największą grozę wywoływał moment uruchomienia ukrytych miechów połączonych rurkami z każdą figurą, gdy pod naciskiem sprężonego powietrza zaczęły ożywać, z lekka poruszać rękami, głową, mrugały, a przy tym słychać było sapanie ich głębokich oddechów w miarę podnoszenia się i zapadania piersi. Widzów ogarniał szok i odrętwienie. Młodzi uciekali z przerażeniem. Może i sam późniejszy Hitchcock nie byłby w stanie wywołać większego wstrząsu. Imprezy te urządzali prywatni przedsiębiorcy.

Dla części młodzieży bardziej atrakcyjne okazywały się jednak mecze miejscowego klubu piłki nożnej.

Kwatery dla zamiejscowych uczniów wynajmowano w prywatnych mieszkaniach. Mogły obejmować po kilka miejsc w większym pokoju i dlatego warunki do nauki nie były idealne, zwłaszcza gdy lokatorami byli również starsi uczniowie ze srebrnymi paskami. Młodszy mieli duży respekt do starszych kolegów, ponieważ już więcej liźnęli matematyki i innych mądrości. Gdy starsi dyskutowali lub głośno recytowali swoje lekcje, młodszy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą. W rozgwarze niełatwo było się skupić.

Wśród lokatorów panowały niepodważalne tradycje, co do podziału prowiantów. Na wyżywienie składały się zwyczajowo: śniadania i kolacje z własną kawą zabielaną mlekiem od gospodyni oraz opłacane u niej obiady. Produkty na śniadania i kolacje lokatorzy otrzymywali zwykle co tydzień od swoich rodzin, a więc chleb, masło, słoninę lub smalec, cukier, rzadziej wędlinę czy owoce. Chłopackowie rośli, zdrowie im dopisywało, toteż stale czuli niedosyt. Tak się składało, że przesyłki przychodziły w różnych dniach tygodnia. I każdy miał koleżeński obowiązek podzielenia się prowiantem z pozostałymi.

Stancje zmieniało się z różnych powodów, a najczęściej ze względu na nieudany skład współmieszkańców. Niektóre gospoście przyrządzały bardzo smaczne obiady z kaszy, leguminy czy pierożków, na ogół bezmięsnych. Dla wielu miejscowych rodzin wynajmowanie stancji stanowiło jedyne źródło utrzymania.

Niekiedy, zwłaszcza wiosną, urządzano wycieczki pod opieką wychowawcy w celu zwiedzania zabytkowych budowli, ruin, zamków. Wtedy zniknął dystans dzielący profesorów i uczniów. Tworzyła się przyjemna atmosfera, toczyły się rozmowy na tematy związane z wycieczką. Najciekawszą wyprawą okazała się przejażdżka koleją do Czudca, na trasie do Rzeszowa. Ze zbocza wysokiej, zalesionej góry tryskało źródło. Miejsce spadku wody i dalsze koryto strumyka pokrywał osad z tlenku żelaza. Woda o charakterystycznym smaku działała orzeźwiająco. Wycieczka nie otrzy-

mała od miejscowej ludności informacji, czy źródło ma właściwości lecznicze i czy byłyby tam warunki na urządzenia zakładu zdrojowego.

Pod koniec 1920 roku w stosunkach rodzinnych Józefa zaszła pomyślna zmiana. Wrócił z Ameryki sześćdziesięcioletni ojciec; na emigrację udał się w 1906 roku, by zarobić na spłatę udziałów siostr w odziedziczonym gospodarstwie rolnym. Józek ojca nie znał, gdyż liczył wówczas zaledwie jeden rok, gdy on wyjeżdżał z kraju. Spłaty zdołał dokonać przed wybuchem I wojny, ale nie zdążył wcześniej wrócić, bo zapadł na zdrowiu. Dlatego przywiózł niewielkie oszczędności. Syn czuł się niezmiernie uszczęśliwiony z jego przybycia i poznania. Ojciec sprawił mu od razu nowy, granatowy mundurek, bo z pierwszego już wyrastał, a nosił go trzy lata. Józek był nie mniej zachwycony, gdy otrzymał drogi szwajcarski zegarek w kopercie. Zegarki takie zwane cebulą, z ozdobnym łańcuszkiem, nosiło się w lewej kieszeni kamizelki. Chcąc sprawdzić godzinę należało wyjąć zegarek z kieszonki, nacisnąć zaczep i w tym momencie odskakiwała pokrywa zegarka, ukazując tarczę ze wskazówkami.

Mimo konieczności oszczędzania można było teraz pozwolić sobie na zmianę stancji, na mniej zagęszczoną, dwuosobową. Niestety ojciec niedługo już pożył. W następnym roku wiosną rozstał się z życiem. Syn bardzo dotkliwie przeżył tę drugą już w jego życiu bolesną stratę najbliższych osób. Zrezygnowany i zgaszony, tylko upartym wysiłkiem woli zdołał się poderwać i przebrnąć do następnej, czwartej klasy.

Najstarsza siostra Maria długo odkładała na zamążpójście, nie chcąc pozostawiać reszty rodziny na łasce losu. Zdecydowała się na to po śmierci ojca. Z mamą podjęła jego skromne oszczędności w dolarach. Za poradą sąsiada, stolarza, wyjechała do województwa poznańskiego z zamiarem nabycia od wyjeżdżających Niemców jakiejś nieruchomości. Obowiązywał wówczas traktat nakazujący Niemcom składanie deklaracji, czy chcą zostać obywatelami polskimi, czy też wyjechać. Większość Niemców decydowała się na wyjazd i ci pilnie starali się sprzedać swoje majątki. Poznaniacy nie mieli możliwości zakupu, ponieważ nie posiadali twardej waluty, a pieniądź skutkiem szalejącej inflacji tracił swą wartość z dnia na dzień. W latach 1923–24 płacono się za chleb miliony marek, które stanowiły obowiązującą wówczas walutę. Wiele osób, które sprzedały ziemię i zabudowania, zostało bankrutami, gdy po roku za otrzymane pieniądze (marki) mogli kupić tylko paczkę papierosów.

Tak więc Niemcy sprzedawali majątki tylko za dolary. W Poznańskim osiedliło się wiele rodzin, których bliscy wrócili z Ameryki. U poznaniaków zrodziła się do nich zawiść za to, że wykupują im sprzed nosa ponemieckie posiadłości. W chwili poznawania się z nowymi przybyszami z ust tubylców padało nieodmiennie: Gdzieś się rodził? Skoro padła odpowiedź, że w Galicji, zostawał uznany do niegodnego utrzymywania z nim jakichkolwiek stosunków. Ale nie lubiani byli również królewiaczy (z byłego Królestwa Kongresowego). Z czasem, nie siląc się na dokładniejsze rozróżnienie, nazywano nowych przybyszów „Galileą z Kongresowy”.

Taką to sytuację zastała siostra Józka, kiedy przybyła po poradę do znajomego stolarza, który już wcześniej zainstalował się w niedużym miasteczku – Trzemesznie. Niełatwo było uzyskać wiadomość, gdzie można by korzystnie nabyć nieruchomości. Stolarz wskazał wyspecjalizowanego pośrednika, który za stosowną opłatą pośredniczył w zawarciu takiej transakcji. Udało się nabyć od Niemca w centralnym punkcie miasta dwupiętrowy, murowany dom pod blachą, w dobrym stanie, z ogrodem i morgą pola nad jeziorem. Odsprzedał też własne meble. W domu było pięć mieszkań, cztery z nich – wynajmowane. Czysze były niskie, tak więc dochód z ich wynajmu już w późniejszym wartościowym pieniądzu nie przekraczał stu złotych.

Po załatwieniu formalności siostra wróciła do Wojkówki po brata. Uzgodniła też ze starszą siostrą, że w zamian za gotówkę, jaką pozostawił ojciec, odstąpi jej swój udział w gospodarstwie, a bratu zapewni możliwość kontynuowania nauki w klasycznym gimnazjum w nowej siedzibie. Na tym stanęło. W listopadzie, po otrzymaniu świadectwa odejścia z Jasła, Józek wyjeżdża „na emigrację” do Trzemeszna.